MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 33 WARSZAWA, 9 SIERPNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

O RZĄD W POLSCE

PRZYGLĄDAJAC się rozwojowi sprawy polskie na terenie międzynarodowym, przekonałem się, że przyszłością Polski zainteresowani są nietylko Polacy, lecz i żydzi. Z początku wydawało mi się, że rozwój wydarzeń, jeśli chodzi o naszą przyszłość, zależy tylko od naszych własnych interesów i dążeń oraz od interesów i dażeń mocarstw europejskich, zaangażowanych w wielką wojnę. Stopniowo wszakże zacząłem dostrzegać działanie jakichś sił, nieokreślonych i nieujawnionych, które wpływały zarówno na stosunki wewnętrzne w społeczeństwie polskiem, jak i na stosunek do naszej sprawy rządów i opinji państw innych. Obserwując bacznie wypadki i informując się, doszedłem do wniosku, że zarówno rozbicie wewnętrzne narodu polskiego wobec katastrofy wojennej (dwie „orjentacje"), jak i niezrozumiały często stosunek obcych czynników do nas są następstwem tego właśnie faktu, że to, co się dzieje na terytorjum Polski obchodzi nie tylko Polaków, lecz i żydów.

Polityka żydowska, dla której najważniejszym „celem" wojny na jej początku było zniszczenie „caratu", t. zn. zdobycie wolności życia i pracy dla ludu żydowskiego na olbrzymich przestrzeniach Rosji, stanęła po stronie państw cetralnych, a rozumiejąc znaczenie polityczne Polski, starała się oddziałać także na opinję naszą w tym sensie, by się oświadczyła po stronie Niemiec i Austro-Węgier. Dziś po uporządkowaniu swoich spostrzeżeń i doświadczeń, sądzę, że nie byłoby w Polsce dwu „orjentacyj", gdyby nie wpływ polityki żydowskiej na pewien odłam opinji polskiej...

W roku 1917 żydzi — jak to dziś już otwarcie się pisze w czasopismach i książkach żydowskich — przeszli na stronę koalicji i bardzo się przyczynili do tego, że Stany Zjednoczone wzięły udział w wojnie. Za to otrzymali przyrzeczenie oddania im Palestyny (Deklaracja Balfoura) i inne zapewne rzeczy dotychczas nieujawnione. Przypuszczać należy, że już wówczas, w r. 1917, była mowa o zabezpieczeniu interesów żydowskich na terenie Europy środkowo-wschodniej, gdzie miały powstać nowe państwa.

Polityka żydowska była z pewnością bardzo aktywna zarówno w okresie poprzedzającym wojnę, jak i w czasie wojny. Mało jednak wiedzieliśmy i wiemy o tem wszystkiem. Polityka ta wyszła dopiero na światło dzienne w czasie konferencji pokojowej paryskiej, ten jej okres jest już dziś dość dobrze znany. Podałem nieco informacyj o niej w swej książce: „Sprawa granic Polski na konferencji pokojowej w Paryżu". Pragnących poznać te rzeczy bliżej odsyłam do ciekawej książki O. J. Janowsky'ego p. t. *„The Jews and Minority Rights* (1898—1919)", która się ukazała w r. 1933 w Nowym Yorku.

Mniej znane, niż walka żydów o prawa mniejszości, która doprowadziła do narzucenia państwom „nowym" przez wielkie mocarstwa osławionych traktatów o mniejszościach, są zabiegi żydowskie o to, by w tych nowych państwach rządy dostały się w ręce żywiołów sprzyjających żydom. Nie mieli żydzi kłopotu z Czechosłowacją i Jugosławją, bo w zabiegach, pracach i walkach o odbudowanie tych państw brała bardzo żywy udział masonerja, gorzej było natomiast z Rumunją i Polską.

W Rumunji trzymało silnie władzę w ręku stronnictwo liberalne, mające za wodza wszechpotężnego wówczas Joela Bratianu, który miał odwagę przeciwstawić się wyraźnie traktatom mniejszościowym, traktatów tych nie podpisał i żydom żadnych ustępstw robić nie chciał. To też, gdy na plenarnem posiedzeniu konferencji wygłosił przemówienie przeciw wtrącaniu sie obcych w wewnętrzne sprawy państw „nowych", podniósł się z fotela swego sam Wilson, by z nieutajoną irytacją polemizować z przedstawicielem Rumunji.

Z Polską poszło żydom łatwiej, a to dzięki rozbiciu opinji polskiej na dwie „orjentacje". Mając przeciwko swym postulatom Komitet Narodowy paryski, oparli się oni o „orjentację centralną" i całą swą siłą poparli ludzi hołdujących tej właśnie orjentacji. Nie zrozumie nic z tego, co się działo w Polsce odrodzonej, kto nie weźmie pod uwagę faktu, że polityka żydowska miała dwa wyraźne cele: 1) utworzenie takiej Polski, która by najbardziej odpowiadała interesom zamieszkałego na terytorjum polskiem ludu żydowskiego; 2) oddanie władzy w Polsce odbudowanej czynnikom sprzyjającym żydom, czyli niedopuszczenie do tego, by Demokracja Narodowa, której polityka odniosła przy ukończeniu wojny zwycięstwo, doszła do rządów w Polsce.

Pierwszego celu żydzi nie osiągnęli. Nie udało się im przeszkodzić powstaniu państwa polskiego na obecnem terytorjum, w okresie konferencji wszakże, od kwietnia do czerwca 1919 r. pomogli walnie różnym czynnikom, które porobiły wyłomy w pierwotnych postanowieniach, wprowadzonych do pierwszego projektu traktatu. Drugi cel natomiast osiągnęli całkowicie. Przyjdzie kiedyś czas odpowiedni, by ze wspomnień odświeżyć różne wydarzenia, na które się patrzyło w Paryżu; przyjdzie czas, by zgromadzić wiadomości, które się przedostały na łamy pism i znalazły echo w książkach. A wówczas przed opinją polską stanie jasny obraz działań polityki żydowskiej, zmierzającej do takiego ukształtowania rządów w Polsce, by interesy żydów w tem państwie, tak dla nich ważnem, były całkowicie zabezpieczone.

*

Doświadczenia i wiadomości zdobyte w czasie wojny i konferencji pokojowej, zwłaszcza możnosć obserwowania zbliska, w Paryżu, w latach 1919 i 1920 działań polityki żydowskiej, pozwoliły widzieć dalszy ciąg tych działań w odbudowanem państwie polskiem. Bezpośrednio a także za pośrednictwem lóż polskich i tych grup politycznych, w których żydzi mieli wpływy, pilnowali oni nie tylko tego, by interesy narodowe żydów w Polsce były zabezpieczone, lecz i tego także, by obóz narodowy był trzymany zdala od udziału w życiu państwa polskiego.

Kto kiedyś zada sobie trud zapoznania się z dziejami polityki polskiej w okresie od r. 1918 do 1936, ten będzie zdziwiony, jak ważnym czynnikiem w życiu politycznem naszego kraju, w ciałach parlamentarnych, przy formowaniu rządów, przy wywoływaniu przewrotów była polityka żydowska. Przyświecał jej zaś stale — między innemi — cel niedopuszczenia w Polsce do władzy Obozu Narodowego. W dążeniu tem opierała się polityka żydowska najpierw na demokracji polskiej, później zaś poparła dyktaturę. Nie chodziło jej bowiem nigdy o doktryny i zasady, lecz o interes narodu żydowskiego.

*

W ciągu tych kilkunastu lat istnienia państwa polskiego zaszły w Europie różne przeobrania. W szeregu krajów zwyciężył ruch narodowy i objął władzę w swe ręce. „Wielkie Demokracje Zachodu", to znaczy państwa rządzone przez wolnomularstwo przestały iść na czele „postępu" narodów europejskich. W Polsce zdobył grunt twardy pod nogami nowoczesny ruch narodowy, a całe społeczeństwo rozumie coraz lepiej znaczenie zagadnienia żydowskiego i rolę żydów, także rolę polityczną, w Polsce.

Te przeobrażenia tłumaczą zmiany, jakie zaszły i wciąż jeszcze zachodzą w metodach polityki żydowskiej. Celem jej jest w dalszym ciągu niedopuszczenie do przewagi obozu narodowego w życiu państwa polskiego. Staje się to jednak coraz trudniejsze zarówno ze względu na ewolucję opinji polskiej, jak i na sytuację ogólno-europejską. A już stanowczo trzeba zmienić metodę działania.

Mają żydzi do wyboru dwie drogi — albo współdziałać w istnieniu rządów nie liczących się ze społeczeństwem i z nurtującemi wśród niego prądami pod warunkiem, że te rządy będą uwzględniały interesy żydowskie, albo też współdziałać z takiemi żywiołami, które mając niejasno zarysowane uczucie narodowe i nie rozumiejąc polityki żydowskiej, gotowe by były się liczyć z interesami żydowskiemi.

Krótko mówiąc, są z punktu widzenia żydowskiego dopuszczalne w Polsce trzy typy rządów— najbardziej by im odpowiadały rządy „frontu ludowego", bo były by one wstępem do skomunizowania naszego kraju; skoro to wydaje się w dzisiejszych warunkach niemożliwe, mogą się pogodzić z dyktaturą, o ile będzie po ich myśli, wreszcie — w ostateczności — poprą te żywioły, które stanowią coś, co nazwaćby można „frontem trzecim", żywioły patrjotyczne, lecz nie nacjonalistyczne, pozornie narodowe, w istocie rzeczy zaś gotowe — na skutek braku rozumu politycznego— do prowadzenia polityki niezgodnej z wymaganiami rzeczywistych interesów politycznych narodu polskiego.

Kraj nasz przeżywa okres przejściowy. Kończy się jeden okres w życiu powojennem narodu polskiego. Rzeczą naturalną i logiczną byłoby objęcie rządów w Polsce przez ruch narodowy, podobnie jak to stopniowo dzieje się w innych krajach europejskich. Na drodze do prowadzącego do tego rezultatu rozwoju wydarzeń różne stoją przeszkody. Jedne wynikają z przeszłości i psychiki naszego narodu, są związane z jego, pewnego rodzaju, pierwotnością polityczną. Inne są dziełem czynników zewnętrznych, wśród których pierwsze miejsce zajmuje właśnie polityka żydowska. Ma ona w oddziaływaniu na politykę i opinję polską coraz większe trudności. Nie mniej przeto nie abdykuje ze swych celów i nie zamierza zaniechać swego działania. Posiada ona jeszcze wpływ na pewne koła polskie, posiada szereg organów, przez które może oddziaływać na opinję szerokich kół inteligencji polskiej, wreszcie ma na swe usługi loże polskie i cały aparat środków będących bezpośrednio w rękach żydów, lub też w rękach wolnomularstwa międzynarodowego. Kto przeto chce zrozumieć to, co się dzieje w Polsce w obecnym przejściowym okresie jej dziejów, ten musi brać w rachubę nietylko prądy i interesy różnych warstw i odłamów narodu polskiego, lecz także działania polityki żydowskiej i jej organów pomocniczych, w rodzaju wolnomularstwa.

STANISŁAW KOZICKI

WIELKA RUMUNJA

II OBYWATELE RUMUŃSCY

NA GŁÓWNYM placu Czerniowiec, dziś zwanym Placem Unji (*Piatza Unirei*) stoi pomnik, uzmysłowiający powrót Bukowiny i Besarabji na łono rumuńskiej macierzy. Jakby wstydliwie ukrytą partję ornamentacyjną stanowi rumuński byk, gniotący przedniemi kopytami rosyjskiego orła.

„*Monumentul Unirei*" nie jest w każdym razie wyrazem przekonań, pielęgnowanych dla odświętnego użytku. Każdy Rumun jest głęboko przekonany, że Transylwanja, Bukowina i Besarabja są staremi rumuńskiemi ziemiami, które ongiś od Rumunji oderwane, dziś powróciły do macierzy. Akt sprawiedliwości dziejowej powrócił narodowi rumuńskiemu jego ziemie, które dziś tworzą Wielką Rumunję, *România Mare* bowiem brzmi urzędowa nazwa powojennej Rumunji.

Rumuni na ich ziemiach kresowych są w mniejszości. Miejscowy żywioł rumuński reprezentuje z dawien dawna osiadły na tych ziemiach chłop rumuński. Jedyną jego legitymacją do tej ziemi jest to, że na niej trwał przez wieki i siedzi po dziś dzień — równie dobrze, jak chłop ruski.

Wkład kulturalny rumuński jest na tych ziemiach bardzo nikły, prawie niedostrzegalny i pozbawiony większego ciężaru gatunkowego.

W miastach Bukowiny, Siedmiogrodu i Besarabji rodzime mieszczaństwo rumuńskie nie istnieje, nieliczni jego przedstawiciele stanowią wraz z inteligencją żywioł napływowy.

Rumuni oczywiście widzą, że kraje, o których mowa, nie mają charakteru rumuńskiego. Starają się też w dosyć prymitywny sposób zapobiec temu stanowi rzeczy. Stosuje się w tym celu np. mocno bezceremonjalne romanizowanie nierumuńskich nazw miejscowości. Zaszczyt taki np. spotkał słowiańską Nowosielicę, która najniespodzianiej awansowała na Nową Salinę (*Sulitza Nuova)*. Słynna twierdza Chocimska otrzymała rumuńską genealogję i ma pochodzić od Stefana Wielkiego (*S*$_z$*tefan cel Mare*), będącego bodaj generalnym bohaterem rumuńskim, którego imienia stanowczo nadużywają potomni. Na wzór ulic, pułków, szkół, i założona przez wenecjan twierdza chocimska nosi dziś miano: *Ceta-tea lui S*$_z$*tefan cel Mare.*

Obok tych „dziecinnych igraszek"—prowadzą Rumuni wytrwale i z uporem akcję romanizacyjną. A przedewszystkiem prowadzą ją z wielkim taktem. Pozostawia się wszystkim wolną rękę. Ale też państwo rumuńskie nie sądzi, by było obowiązane za swoje pieniądze pielęgnować czyjekolwiek odrębności narodowe. Szkoła z prawami państwowemi jest jedna dla wszystkich — językiem wykładowym jest język rumuński. I szkoła robi swoje—skutecznie i bezboleśnie ruguje alfabet nierumuński, za nim oczywiście musi ustąpić słowo pisane, z czasem żywe.

Żaden Rumun nie ma wątpliwości, że ziemia besarabska lub siedmiogrodzka, po której stąpa, jest ziemią rumuńską, na której należy przywrócić dominujące znaczenie żywiołowi rumuńskiemu. Co do tego w teorji i praktyce są najzupełniej zgodne wszystkie rumuńskie stronnictwa, nie wyłączając liberałów i socjalistów. Nikomu nie śnią się projekty federacyjne, nikt nie mówi o autonomji, ani tym podobnych subtelnościach.

W oczach każdego Rumuna podział na obywateli rumuńskich (*cetatean român)* i przynależnych do państwa rumuńskiego przedstawicieli mniejszości (*minoritari)* jest tak naturalny, że nie wymaga uzasadnienia. Przynależni do państwa rumuńskiego nie mają szeregu uprawnień, przysługujących obywatelom. Wbrew oczekiwaniu i logice konstrakcji mają oni pełne prawa polityczne, podlegają zaś ograniczeniu w dziedzinie osobisto-gospodarczej. Np. wszelkie instytucje publiczno-prawne mogą zatrudniać przedstawicieli mniejszości jedynie w charakterze urzędników kontraktowych, którym nie przysługują żadne prawa emerytalne. Cała rzecz jest skonstruowana niezwykle celowo, trzeba bowiem wiedzieć, że administracja rumuńska w braku dostatecznej ilości wykwalifikowanych sił, wchłonęła dużą ilość urzędników rosyjskich i austrjackich, których teraz można dogodnie i bez kosztów zastępować młodym elementem rumuńskim. Zarazem słabo orjen-

tująca się w wewnętrznych stosunkach rumuńskich zagranica trwa w przekonaniu o zupełnem równouprawnieniu, panującem w Rumunji.

Nosząca pozory naiwnej igraszki prawniczej, instytucja przynależnych nie ściąga na Rumunję *odium* potężnych przyjaciół. Zarazem wpływy polityczne niezadowolonych mniejszości — nie są znów tak groźne. Od czegóż są t. zw. rumuńskie wybory?...

Proces romanizacji byłby znacznie łatwiejszy i prędszy, gdyby Rumuni nie zrażali do siebie nie-Rumunów, istotnie nader niemiłemi w bliższych stosunkach, cechami. Należy, bowiem wiedzieć, że wkraczające np. do zrewolucjonizowanej Besarabji wojska rumuńskie doznały ze strony żywiołów niebolszewickich entuzjastycznego przyjęcia. Miejscowi Rosjanie przeżyli parę lat aktywnego filoromanizmu. Jednakże bliższe zetknięcie z Rumunami zraziło do nich ludzi, przywykłych do innego środowiska. Znam ludzi, którzy pod panowaniem rosyjskiem uważali się za Rumunów, a dziś odżegnują się od wszystkiego, co rumuńskie. Jednakże kultura rumuńska ma swoje odrębne oblicze, skutkiem czego jest zdolne pociągnąć żywioły obce, już oswojone z niestrawnemi cechami społeczeństwa rumuńskiego. Pociągnęła też ona ku sobie młodzież rosyjską.

Akcja romanizacyjna może poszczycić się największemi zdobyczami—oczywiście na Besarabji. O ile wiem, przedstawia się ona beznadziejnie w węgierskim Siedmiogrodzie.

(Dok. nast.) JĘDRZEJ DAMIĘCKI

TEORJA TEATRU SOWIECKIEGO

OGROMNE zainteresowanie literaturą sowiecką, jakie się u nas w ostatnich latach daje zauważyć, obejmuje także i teatr, który w Rosji zawsze był bardzo żywą dziedziną sztuki. Nie przestał nią być i teraz, chociaż charakter jego zmienił się bardzo od kilkudziesięciu lat. Jest coś w naturze rosyjskiej, co rozwojowi kunsztu teatralnego sprzyja—czy to dramatyczna (a raczej tragiczna) postawa wobec świata, czy to dążenie do uwolnienia się od psychologicznych kompleksów przez wyrażenie ich w scenicznej metaforze—trudno rzec napewno, ale Rosja miała i ma przedstawicieli najskrajniejszych i najciekawszych teatralnych kierunków, najpłomienniejszych reżyserów, najgłębiej nie żałujących siebie aktorów.

To też i teraz, po przewrocie, teatr sowiecki jest zjawiskiem arcyciekawem, może dlatego, że nosi na sobie jaskrawe odbicie dokonanej przemiany razem z jej niebezpiecznemi cechami.

To, co jest obecnie sowieckim teatrem, nie powstało nagle w dobie rewolucji, przeciwnie, jego cechy charakterystyczne zawierały się już w dziesięcioleciu, poprzedzającem wielką wojnę. Ani widmowy teatr Błoka, tak źle później współżyjący z rewolucją, choć zaliczony do jej placówek, ani nastrojowy realizm psychologiczny Stanisławskiego nie pozostały bez wpływu na podstawy sowieckiego kunsztu scenicznego (mimo panującej tendencji do zaprzeczania podobnym wpływom indywidualistycznym) nie mówiąc już o Wachtangowie, Tairowie i Meyerholdzie, którzy, zacząwszy przed rewolucją, pracują dotąd, z wyjątkiem zmarłego Wachtangowa.

Secesja Meyerholda z teatru Stanisławskiego, oraz powolne kształtowanie się własnego teatru Wachtangowa, stały się początkiem zwrotu. W tym czasie fale, idące od reformatorskiej działalności Gordona Craiga, dotarły do Rosji. Teatr „umowny" czy „warunkowy" (stwarzający nastrój zapomocą uproszczonych dekoracyj i światła), zwrot do silnej stylizacji, do prymitywów włoskiej komedji *dell'arte*, zaczął się rozwijać na podatnym rosyjskim gruncie.

„Precz z psychologicznemi nastrojami, z tanim dekadentyzmem, z czwartą ścianą Stanisławskiego"—takie były hasła nowego kierunku. Nie trzeba starać się być fotografją rzeczywistości, teatr i tak zawsze jest złudą, więc niechże twórca i widz świadomie ulega jej czarowi, wchodzi w świat artystycznej bajki, wartości czysto teatralnych.

„Turandot" u Wąchtangowa, oraz inne bajkowo-cyrkowe widowiska u niego i Meyerholda, wyraźnie zwracają się w kierunku teatru chińskiego czy staro-hiszpańskiego. Dekoracje zwija i rozwija na scenie w miarę potrzeby „służba teatralna", aktorzy komponują swe kostjumy z przeróżnych rzeczy, znalezionych na scenie, tekst zaś czasami ustalano zapomocą wypracowanej na próbach zbiorowej improwizacji.

Suggestja uproszczonych linij charaterystycznych np. w kostjumach, szukanie ruchu choćby nienaturalnego, lecz podkreślającego atmosferę danego widowiska—ruchome płaszczyzny dekoracyj, wszystko to były rzeczy nowe (lub bardzo stare i zapomniane), pełne nieprzeczuwanych dotąd możliwości wyrazu. Otwierały perspektywy ku ciekawej grotesce, ku scenicznej bajce, ku patetycznej fantastyce pierwotnych epok teatru. Zagubione w psychologiczno-literackich nastrojach sztuk Czechowa, czysto sceniczne wartości barwnej plamy, kształtu, kompozycji przestrzennej, stylizowanego gestu, wróciły i umożliwiły szereg oryginalnych inscenizacyj.

To były rzeczy raczej formalne. Meyerhold po drodze szukania nowej formy doszedł do masek, do konstruktywizmu, wreszcie do biomechaniki. Takie eksperymenty są obosieczne: przerost konstruktywizmu może [zabić żywy ruch aktora, zrobić zeń jedynie barwną plamę w kompozycji ruchomych płaszczyzn dekoracyjnych. Biomechanika dążyła do rozłożenia ruchów ludzkich na ich składowe elementy, co oczywiście prowadzi do uczynienia z aktorów marjonetek.

Ze strony wewnętrznej teatr, zawierający się w latach przedrewolucyjnych, nie miał wyraźnego charakteru. Wystawiano rzeczy stare i nowe, „Zorze" Verhaeren, „Turandot" Błoka, Andrejewa. Także groteski w rodzaju „Księżniczki Brambilli", oraz—Maeterlincka. Ta rozmaitość, brak ustalonej linji, eksperymentalność trwają w ogromnej przewadze i dziś. Rewolucja zastała teatr rosyjski na pograniczu symbolizmu i konstruktywizmu. Wniosła z sobą prądy bardzo silne i odrazu podbiła

teatr. Inna sprawa, że niebardzo mu to wyszło na dobre.

*

We wszystkich epokach sztuka, aby być płodną i budzić w widzu perspektywy nowych myśli, musi mieć silne związki z rzeczywistością. Nie znaczy to jednak, aby się jej w zupełności podporządkowała, aby służyła sprawom dnia, godziny i minuty, zapominając o swej wiecznej wartości. Rzeczy, nie przerastające swojej doby, giną razem z nią. Tylko te, które, chociaż zawierają ostre odbicie owej rzeczywistości, mają mimo to podkład głębszy, malujący zasadnicze walki człowieka z losem lub ze sobą, posiadające wartości ogólnoludzkie, zachowają się, wiecznie żywe.

Tak dzisiaj badamy Szekspira, chcąc poznać jego czasy, ale wiedząc, że czasy te podniesione zostały w sztukach stradfordzkiego genjusza do poziomu wiecznej prawdy dziejów ludzkich, bez względu na kostjum, w jaki je ówczesny „dzień dzisiejszy" ubierał. W tenże sposób wielkie dzieła np. Claudela nie przejdą, nie miną, choć niezawsze unikają palących zagadnień chwili. Sztuka sowiecka buduje się na zasadniczem nieporozumieniu: chce zrobić z wszelkiego piękna w teatrze czy poza nim—narzędzie do walki klas. Ogranicza ona to, co najbardziej żywe w duchu ludzkim: twórczość artystyczną — do części programu partyjnego.

Takie jest niewzruszone stanowisko teatru sowieckiego od pierwszych dni rewolucji do dziś. Teorja teatrologiczna stara się podłożyć pod nie podstawy rozumowo-logicznego systemu.

Względne wczesne *„Problemy dramaturgiczeskogo analiza"* Bałuchatego (Leningrad 1927) przed opracowaniem dzieł Czechowa dają cały szereg twierdzeń teoretycznych. Trudny język, plączący w jedno pojęcia pseudo-naukowe, naukowe, dialektykę z nieustalonemi terminami z dziedziny sztuki, powoduje zamieszanie w wielu sowieckich książkach teatralnych. Marx, Engels i Lenin cytowani są wszędzie jako najwyższe autorytety we wszystkich dziedzinach myśli i życia. Jak słusznie pisze Eugenja Weber w swem ciekawem studjum „Etapy dramaturgji sowieckiej" („Marchołt", kwiecień 1936): „partja zapomocą prasy obdarza np. uniwersalną genjalnością niektórych czołowych swych przedstawicieli. Dlatego Stalin okazuje się nieporównanym stylistą i na zjazdach pisarzy stawiają go jako wzór do naśladowania — obok Tołstoja i Stendhala... rzeczy Wytwarza się w ten sposób naginanie sztuki i to tak swoistej sztuki, jak teatru, do twierdzeń polityków i ekonomistów.

Bałuchatyj błądzi w tenże sposób, jednak czasem jest ciekawy jeśli chodzi o technikę dramaturgiczną:

„Budowa dramaturgji — poetyki dramatu — może się dokonywać dwiema drogami: albo przez stworzenie „teorji", obejmującej w pełni „naturę" sztuki dramatycznej, „zasady" konstrukcji dramatu, typy... czystej lub spaczonej formy—albo przez zastosowanie metody porównawczo - analitycznej". Bałuchatyj obiera drogę pośrednią, według niego najwłaściwszą dla przyszłej nauki o dramacie: główne znaczenie przypisuje metodycznemu opisowi materjału (?) dramatów, „jednakże z orjentacją na formo-twórcze, ciągle działające zasady dramatyczne". Ta metoda „opisywania" buduje dramaturgję jako swoistą, t e c h n o l o g i c z n ą słowno-artystyczną naukę. Ma to być nie teorja, lecz technika dramatu, która wykazuje zasady związków i formy wyrażania dramatycznych elementów słownych. Słowo dramatyczne jest odrębne w swej istocie od słowa pisanego. Ciągła dynamiczność, związek z bezpośredniem oddziaływaniem scenicznem przez dźwięczne wygłoszenie połączone z gestem, ukształtowały je, a przez słowo ukształtowały też i kompozycję dramatyczną.

Forma dramatu jest formą samowypowiadania się. „Słowny materjał dramatu można określić jako e m o c j o n a l n e i d y n a m i c z n e s ł o w o" (podkr. autora). „Temat i emocja są czynnikami, organizującemi element słowny dramatu".

Tematów w sztuce może być wiele, ale wszystkie muszą tworzyć konstrukcyjną całość i ogniskować się w syntezie, która tworzy temat główny. Tak samo postaci, ich krzyżujące się z sobą linje mają tworzyć jedność organiczną.

To budowanie teatru na uczuciu, na emocjonalnych impulsach, które się wyrażają przez środki techniczne i przenikają je, jest właściwe i głęboko sięga w samą istotę tej tajemniczej psychologicznej przygody, jaką jest działanie sceny.

Charaktery sceniczne to zawsze pewne zwężone ludzkie dusze — zwężone do jednej głównej cechy, bardziej przez to wyrazistej. Zadaniem dramatu jest „spowodować wrażenie dynamiczności. Ruch głównych... linij tematu nazwiemy wątkiem (fabułą) dramatu... Kompozycja dramatu — to porządek następstwa małych tematów, to jest tematów aktów... Kompozycja to... metoda traktowania tematu, sposób rozwinięcia go w słowie"...

Następują ciekawe rozróżnienia funkcyj dialogów w kompozycji dramatycznej, kwestja monologów. Dramaturg pamięta o specjalnych właściwościach emisji scenicznej i organizuje swoją sztukę, obliczając ją na możliwości ramek teatralnych i na kontakt z widzem.

Najciekawszem z dzieł znanych mi z zakresu teatrologji sowieckiej, jest niewątpliwie Afinogenowa *„Tworenskij mietod tieatra"* (Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej, Moskwa—Leningrad 1931).

Afinogenow pisze językiem jeszcze bardziej zagmatwanym. Nużący żargon naukowy, z powodzeniem naśladujący dzieła niemieckie, pozbawiony jakiejkolwiek lekkości i przejrzystości znaczeń, więcej niż poprzednia książka czyni wrażenie zawiłej łamigłówki pojęciowej. Język rosyjski w podobnych książkach traci całą swą melodyjność i głębokość. Naukowość nie powinna wykluczać swobody myślowego ruchu. Książki sowieckie nie wyrodziły się od swojej rzeczywistości: czuje się, czytając je, cały ciężar przymusu, jaki panuje w Rosji we wszystkich dziedzinach życia. Doktryna tylko, wąska i ściśle określona, jedyna ortodoksyjna koncepcja bytu — i to wszędzie, także w literaturze, której przypada zaszczytna rola służenia sprawie komunizmu i propagowania go, przedewszystkiem.

Dając na wstępie zdanie Plechanowa: „Sztuka jest zjawiskiem społecznem", autor używa dialektyki materjalistycznej jako metody analizy teatru. Opiera się głównie na Heglu, z zapałem cytując przy każdej sposobności Lenina i Engelsa. Ideologja sztuki powinna tworzyć jej atmosferę tak na-

syconą, aby fakty same się z niej wykrystalizowały w sposób naturalny. Tymczasem u większości współczesnych dramaturgów (oczywiście sowieckich!) konkretne czyny postaci idą swoją drogą, ideologja zaś swoją. To cenne wyznanie o sztuce sowieckiej dowodzi, jak silną jest potrzeba lepszego dostosowania jej do programu, jak mimo wszelkie wysiłki postaci dramatu nie zawsze dadzą się sztucznie nagiąć do swoistej moralności socjalizmu. Sztuka może znaleźć dla siebie samorodną, jej tylko właściwą i odpowiednią formę, i wtedy fakty sceniczne będą jej skrystalizowanym wytworem, ale może się tak stać jedynie wtedy, jeśli logika dzieła jest uwarunkowana jedynie i wyłącznie jego treścią wewnętrzną. Nie wolno naginać żywego bytu scenicznego do programu poza-artystycznego. Mści się to samem dziele zawsze utwór taki będzie brzmiał fałszywie. Wielu z krytyków sowieckich zarzuca utworom sceny rosyjskiej zbyt schematyczną charakterystykę, zbyt mechaniczne dzielenie ludzi na białych (oczywiście świadomych komunistów) i czarnych (inteligentów, wywrotowych działaczy, kułaków), zbyt szybkie nawrócenia „*wrieditieli*" na prawowierny socjalizm.

Te rzeczy są nieuniknione, bo jeśli istnieje przymus takich, nie innych rozwiązań z „morałem", tedy nie ma wyjścia z tak pojętych problemów sztuki. Teatr sowiecki jest w uliczce bez wyjścia i ślepo się w niej tłucze, mimo olbrzymich zasobów energji i usiłowania znalezienia „prawdziwego monumentalnego teatru rewolucji". To znać naprzykład na losach Moskiewskiego Teatru Kameralnego[1]), o czem będzie mowa niżej.

Mimo tych formalnych i ideologicznych podstaw, wspólnych dla wszystkich teoretyków sowieckiego teatru, Afinogenow nieraz ma głębokie i słuszne myśli. Artysta powinien czerpać z życia, z rzeczywistości, nie mechanicznie, lecz dialektycznie, aby przez wypowiedzenie i ukształtowanie faktów czynić z nich dzieło sztuki. „Zasadnicze odróżnienie utworu dramatycznego od właściwego literackiego polega na systemie obrazowego odbicia rzeczywistości". Wewnętrzna sieć podskórnych prądów ideologicznych, zawartych w słowach i poza słowami, powinna być podstawą grania i wystawiania sztuki. To zdanie jest bardzo trafne, i, niestety, jest szczytem niedostępnym dla wielu zarówno naszych jak sowieckich reżyserów i aktorów.

Myślę, że możliwości uczynienia z dzieła scenicznego takiej organicznej, rozwiniętej całości, zależą głównie od autora. „Hamlet" chyba zawsze pozostanie sztuką, gdzie taki ładunek znaczeniowo-uczuciowo-konstrukcyjny zawiera nieskończone możliwości interpretacji. Po wewnętrznej głębi, po konieczności użytych szczegółów konstrukcyjnych poznaje się arcydzieła. „Ale"—mówi Afinogenow—„bywa tak, że autor szczodrze obdziela bohaterów uczuciami, namiętnościami i zaletami, nie biorąc pod uwagę konieczności wyprowadzenia z każdego danego uczucia odpowiadającej mu idei... — ze wszystkich zaś uczuć i przeżyć także myśli ogólnej utworu. Stąd pochodzą tak zwane nieusprawiedliwione sytuacje, które zaszły, lecz z których nic nie wynika". Sztuka — to odkrywanie nowych stron, aspektów rzeczywistości. Sztuka sceniczna powinna stopniować napięcie efektów—aby gromadzonych powoli zapasów prochu, dynamiki, wystarczyło do końca.

Cały rozdział książki Afinogenowa zwraca się „Przeciw metafizyce i teleologji". Wogóle metafizyka i indywidualność są „*bêtes noires*" sowieckiej literatury i teatru. Są tępione, są grzechem nie do przebaczenia, wyłomem w koncepcji sztucznego człowieczeństwa, drogą do wszystkiego, co w Rosji nazywa się „choremi urojeniami drobno-burżuazyjnej psychiki". Według Afinogenowa— autorowi nie wolno dawać subjektywnego pojęcia o rzeczywistości zamiast niej samej — bo to prowadzi do mistyki i błędów konstrukcyjnych. Szczerze współczuć należy sowieckim autorom, tym oczywiście, co do końca nie stali się rzemieślnikami w służbie propagandy bolszewizmu, lecz mają „subjektywny" pogląd na świat.

Krytyka sowiecka do dziś nie zmieniła swego stanowiska, także w sprawach teatru. Świadczy o tem tom artykułów Kirpotina „Proza, dramaturgja i teatr" (Goslitizdat, Moskwa 1935). Oczywiście, znów tu jak i wszędzie, okres przed i powojennej, dekadenckiej europejskiej sztuki jest wzięty za jej ogólną i stałą charakterystyczną cechę, (mimo obecnych od dziesięciu mniej więcej lat bardzo silnych prądów nowych np. we Francji), przedstawiony jako „zachód burżuazyjnej sztuki"— no i przeciwstawiony zdrowo rozwijającej się na glebie rewolucji sztuce rosyjskiej. Ciekawe jest, że argumenty we wszystkich książkach sowieckich są te same, często powielekroć powtarzane z wyrazistością bicia kołem po głowie, z agitacyjną ograniczonością, zdania o „sprzedajnej, zależnej od władzy i sakiewki", burżuazyjnej literaturze. Niestety, może literatura europejska bywa taką w swych niższych przedstawicielach, lecz literatura sowiecka jest taką z programu, ze swą stałą zgodą i oficjalnie przynajmniej wyrażanym zachwytem z powodu tego stanu. Burżuazyjna sztuka doprowadziła do „rozkładu obrazowości" — (to ma być potępienie rosyjskiego i zachodniego symbolizmu)—„sztuka nie może spełnić swej polityczno-wychowawczej roli, jeśli pozostaje niezrozumiałą dla mas, jeśli w o b r a z o w e j f o r m i e (podkr. autora) nie daje prawdziwego pojęcia treści świata w jego rewolucyjnym ustroju". Oczywiście, jest tu bardzo szczere i prawdziwie sowieckie określenie celu i zadania sztuki, jej utylitarnego, agitacyjnego wyzyskiwania. I tu też są cytaty z Lenina — wszechwiedzącego.

Najważniejszą sprawą wszędzie i we wszystkiem jest „budownictwo socjalizmu" i najwyższej pochwały godne stają się powieści i sztuki, gdzie najpełniej i najorganiczniej wyraża się ta jedyna prawda. Temat dla sztuk jest poddany przez pełną patosu i walki rzeczywistość sowiecką — i nie „teatr nieruchomy" ostatnich rewolucyjnych lat, (który odrzucił b. szybko jego twórca, Meyerhold, rozumiejąc że z punktu widzenia czysto teatralnych warunków jest on niemożliwy do utrzymania)—ma być istotnym rewolucyjnym teatrem, lecz realny dramat walki z przyrodą, lub socjalnej, zawsze jeszcze, jak widać z książek, żywej w Rosji; bohaterami będą działacze, budowniczowie sowieccy, ludzie czynu. Rewolucja dała teatrowi postawę i temat czynu, dała mu związek ze zdarzeniami żywej rzeczywistości, zatem dała mu sceniczność.

---

[1]) K. D i e r ż a w i n „*Kniga o kamiernom tieatrie*", Leningrad 1934.

Możnaby stwierdzić, że, jeśli związek z rzeczywistością ma doprowadzić teatr do takiego zwyrodnienia w kierunku prymitywnego narzędzia agitacji, przekonywania przez powtarzanie oklepanych, zawsze tych samych haseł, jakim się stał „Państwowy Teatr Agitacyjny" [2]) — tedy jest to zabijanie żywej sztuki, demoralizacja.

Teatr Agitacyjny więcej niż każdy inny sowiecki, musi mieć „związek z życiem", co się wyraża w grubem sztukowaniu przedstawień po wsiach i miasteczkach—z manifestów partji, z kolejnego programu ostatniego zjazdu — w celu agitacyjnym, śmiało i z dumą wykonywanem. „Sztuka nie jest próżną zabawą, ani beztreściwą rozrywką, lecz przeciwnie, zawsze służy za narzędzie dla tej czy innej społeczno-politycznej propagandy, więc musi ona być wykorzystana w celach agitacji i propagandy idei rewolucji". (Bułgakow i Daniłow *op. cit.*). To też „tematy" tych sztuk, granych przez objazdowy teatr, są np. takie: „Konieczność" — „tematem sztuki jest konieczność uznania Z. S. R. R. przez cudzoziemskie rządy", farsy służą propagandzie antyreligijnej, walce z łapownictwem, wogóle wszelkim lokalnym zagadnieniom poszczególnych połaci kraju. „Nakaz chwili" — to tyrański bicz smagający pisarzy sowieckich. Nawet pisarz, który zdobył uznanie, znajduje się ciągle w sytuacji ucznia, odrabiającego różnorodne zadania dla srogiego i sumiennego w swych wymaganiach nauczyciela. Pisarz-uczeń sumiennie odrabia zadania, lecz często nie może nadążyć zygzakom t. zw. „linji generalnej partji". (Eugenja Weber *op. cit.*). To się nazywa artystycznem wychowaniem mas.

Bardzo bogaty pod względem możliwości reżyserskich, aktorskich i technicznych, Teatr Kameralny w Moskwie także błąka się w zawiłościach służby partyjnej, w żądaniach rzeczywistości sowieckiej. Monografista Dierżawin (*op. cit.*) uważa dopiero końcowy etap jego działalności za właściwie twórczy, kiedy Tairow wystawił dwie sztuki prawdziwie rewolucyjno-monumentalne, w których „bił i bije puls naszej żywej sowieckiej współczesności", „Optymistyczną tragedję" Wiszniewskiego i „Nieznanych żołnierzy" Pierwomajskiego.

Dlaczego „Teatr Kameralny" nie mógł zrozumieć wystawionej przez siebie sztuki Claudela „Zwiastowanie"? Dierżawin pisze tak: „Kameralny Teatr ujmował Claudela w emocjonalnych podstawach jego twórczości, próbując przezwyciężyć mistyczno-religijne tendencje pod-tekstu (czyli jego podbudowy ideowej, przyp. mój). To się niezupełnie udało. Pozostając w obrębie claudelowskiego tekstu, nawet przy jego redakcyjnej przeróbce (obcięto cały czwarty akt!), skrótach i przeakcentowaniu nie można było udaremnić religijnej... atmosfery dramaturgji Claudela". Trudno wyraźniej zadokumentować kulturę „nowych ludzi". Dlatego dla teatru sowieckiego pozostaną niedostępne wszelkie prawdziwie natchnione, „mistyczne" dzieła, a jeśli potrafi on ujmować mit staro-grecki, to nie znaczy, aby miał zrozumienie np. dla Szekspira, który cały jest przeniknięty wiecznemi zagadnieniami bytu. Albo mistyka wedrze się pomimo obrony w dusze wykonawców i nie da się zabić, albo najwięksi autorzy będą „przeakcentowani" i przemówią językiem dialektyki Lenina.

W półironicznej książce Dobree *„Timotheus or the Future of the Theatre"*, która, wychodząc z koncepcji „Podróży w czasie" Wells'a, fantazjuje na temat teatru w kraju przyszłości, czytałam opis tamtejszego „teatru narodowego". To teatr społeczny, narodowy, służący wyłącznie utylitarnym celom. Zapomocą bajecznej techniki, zapachów, świateł, głosów szepczących przy uchu każdego widza, wzbudza się w nim uczucie solidarności społecznej i zapał do pracy wraz z ofiarnością. Wychodząc z teatru, widz tuż naprzeciwko widzi przed sobą świetlne wezwanie banku zapraszające do udziału w pożyczce narodowej. Skutek jest natychmiastowy. Odpowiednio spreparowany widz idzie i składa swe pieniądze na ołtarzu społeczności.

Można powiedzieć, że Sowiety urzeczywistniają podobny proces — przekształcenia teatru w udoskonalonego, mechanicznego agitatora-reklamę. Widzieliśmy na granych u nas sztukach rosyjskich i czytamy w bolszewickich książkach teatrologicznych, że taki proces stawia przed teatrem zagadnienia nie do rozwiązania. Teatr na podstawach poza artystycznych albo się załamie, albo przekształci się w „agitkę", w plakat, w instytucję propagandową, nic z artyzmem nie mającą wspólnego.

HELENA RADZIUKINAS

[2]) Bułgakow i Daniłow: *„Gosudarstwiennyj Agitacjonnyj Tieatr w Leningradie"*. Academia 1931.

CHIMERYCZNE SCHERZANDO

Pani Zofji Rutkowskiej.

OJCIEC mój ś. p. Leon Maciański lubił często nam, swoim synom, opowiadać, że będąc w niższych klasach zaniedbywał się w naukach i nie robił odpowiednich postępów, co doprowadziło potrochu do coraz większych usterek i nakoniec do pozostawienia go w czwartej gimnazjalnej na drugi rok w tej samej klasie. A wówczas podobno ojciec jego a nasz dziad, Karol Maciański przyjechał pośpiesznie ze wsi i zbił go dotkliwie, co miało, jak nas pouczał, zbawienne skutki, bo od tego czasu zmienił swe postępowanie, zabrał się solennie do pracy, skończył gładko szkołę średnią, uniwersytet i stał się pożytecznym i powszechnie szanowanym człowiekiem. Ojciec też podkreślał chełpliwie, że, aczkolwiek egzekucja ta była nadzwyczajnie bolesna, nie krzyczał wcale — krzyknął tylko raz na końcu, oraz dodawał, że po chłoście pocałował ojca w rękę dziękując mu za pożyteczną naukę. Mama niechętnie słuchała tego szczegółu i mówiła, że całować bijącą rękę — to niegodna pokora, ojciec jednak, choć i nie umiał wytłumaczyć się i uzasadnić swego więcej tradycyjnego punktu widzenia, jakoże nie był może dość biegły w subtelnościach i analizowanich, nie dawał się jednak zawstydzić i ilekroć wracał do swojej powieści nie zapominał nigdy

i o tym szczególe. Jeśli chodzi o nasze wychowanie, to ojciec dążył do utrzymania metod wychowawczych dziada. Zresztą i samo to opowiadanie, do którego tak często wracał, mogło być rozumiane jako pewne przygotowanie, jako introdukcja moralna, przed zastosowaniem przy najbliższej okazji czynnie i bezpośrednio i do naszej skóry metod tradycyjnych. W każdym razie pamiętam dobrze, że impresja, jaką pozostawiła na mnie ta opowieść, była zawsze raczej wyraźnie nieprzyjemna. Jednak ojcu niebardzo udało się utrzymać metody dziadowskie. Może tam wprawdzie z parę razy w domu naszym tradycja triumfowała, ale ogólnie biorąc było to już nie to, co w poprzednich pokoleniach rodu Maciańskich, wywoływało protesty i żale, choć najstaranniej maskowane ze strony matki, liberalizm i epoka wdzierały się pomimo wszystko do naszej rodziny i zwyciężała ją potrochu, można powiedzieć, deklaracja praw człowieka i obywatela.

Emblematem władzy liktorskiej, a tem samem i władzy rzymskiej wogóle, a to znaczy i emblematem wielkości i potęgi imperjum rzymskiego są topór i rózgi — rózgi związane w pęk. Bo i w rzeczywistości rózgi są nieodłączne od wszelkiej władzy jakakolwiek i gdziekolwiek jest. Bo niepodobieństwem jest panować nad ludźmi bez zadawania im bólu. I prawdą jest, że ludzie tacy jacy są, to znaczy zdrowi, normalni, zwyczajni, prawdziwi, pełni werwy, krnąbrni, niesforni, jurni, zawadjaccy, ludzie podobni do koników, co rżą na pastwisku, ludzie jednem słowem muszą być chłostani rózgami.

Zresztą i przyjemność panowania polega na tem. że można i trzeba chłostać podwładnych. To jest trochę przesadzone — nie samo bicie jest przyjemnością panującego, ale przyjemnością jest przełamywanie oporu ludzkiego, jednak bicie i zadawanie bólu jest od tego przełamywania nieodłączne i tem samem może wydawać się rozkoszą i przyjemnością samo przez się. To graniczy trochę z sadyzmem, ale sadyzm ostrożny i w małych dawkach jest niemal przyrodzony człowiekowi (zdeformowanemu przez grzech pierworodny). Sadyzm jest tak jak pieprzna przyprawa do jadła—w małych dawkach smakuje, ale dodana przesadnie psuje pokarm odrazu. Na Kaukazie są ruiny po pewnym starożytnym zamku, który umyślnie tak był zbudowany, by lochy, gdzie się trzymało pojmanego nieprzyjaciela przykutego w bardzo męczącej pozycji do muru, znajdowały się tuż pod komnatami, by jęki jego dochodziły do uszu pana, by pieściły go, by dodawały mu apetytu w czas posiłku, a w nocy, gdy wypełniają się przepaści kaukazkie aż po gwiazdy aksamitną ciszą i srebrem księżyca, by go do snu koiły, albo też, by go pobudziły w miłości jeszcze lepiej, by go pobudziły aż do szału, aż do, można powiedzieć, zboczeń (Niech wreszcie Pan Bóg ma nas w swojej opiece!) Takie przyjemności panowania może i są trochę na nasz gust europejski przesadne i zbyt wyszukane, ale i kuchnia wschodnia tak samo dla naszego podniebienia jest zanadto korzenna. Niektórzy myśliwi mówią, że rozkoszą na polowaniu jest zmoknąć, atoli przecież podejście i ubicie zwierzyny jest istotną przyjemnością łowców. Otóż tak samo jak niektórym myśliwym moknięcie może wydawać się przyjemnością, tak samo niektórym panującym bicie może wydawać się rozkoszą. Bo od prawdziwych łowów niepodobna oddzielić różnych niewygód i przeciwności atmosferycznych, a od prawdziwego panowania nie można oddzielić bicia. Panowanie bez bicia jest mdłe i podłe, jest surogatem i nie jest panowaniem i przypomina podły, wymyślony dla burżuazji w Monte Carlo lub gdzieindziej surogat polowania, t. zw. *„tire aux pigeons“*, gdzie też nie trzeba ani moknąć, ani głodzić się, ani wyczekiwać. Rozważając w podobny sposób łatwo jest wytłumaczyć, dlaczego cenione są zazwyczaj przez mężczyzn te kobiety, które są trudne i które się opierają.

Ludzi trzeba bić, bo inaczej nie będą słuchać. Bo ludzie są tak jak przestępcy i nie chcą podlegać chociażby jakiemukolwiek państwu i porządkowi. Każde państwo to przemoc i przymus. Każde państwo to obręcz i ucisk i podobne jest do obręczy żelaznej, którą założono na pień rosnącego drzewa. Anarchiści mają słuszność i mówią, że państwo — to zło, ale są oni manjakami, bo nie rozumieją, że jest to zło koniecznie.

Dzisiaj ludzie niebardzo wiedzą, co to jest państwo, bo od czasów wielkiej rewolucji francuskiej Europa ciągle trwa w okresie dezorganizowania się, jest ciągle w okresie porewolucyjnym. I przesiąknięci jesteśmy wywrotowemi zasadami rewolucji, takiemi jak: wolność, demokracja, liberalizm, humanitaryzm i t. d. Jednak przecież kilka państw dzisiejszych zerwało z demokratyzmem, ale chociaż to i prawda, to żadne z nich nie przeciwstawiło demokratyzmowi zasad nowych. Nacjonalizm nowoczesny też jest oparty na zasadach demokratycznych, a wodzowie jego chętnie szukają aprobaty u większości danego narodu. Rosja komunistyczna rządzi się wprawdzie zupełnie nie demokratyczne, ale komunizm stosowany nie jest żadną zasadą, zmienia się z roku na rok i sam niebardzo wie czem jest. Niektóre państwa, usiłując uniezależnić się od zasad demokratycznych, tylko łamią je, ale nie dają nic wzamian. Żadną miarą nie można chyba nazwać jakąś twórczą nowością w dziedzinie poglądów na państwo i jutrzenką nowego ustroju zarządzenia naprzykład wyborów i fałszowania ich, albo pisania obelżywych wyrazów pod adresem parlamentu. To też można zlekceważyć te mniej lub więcej uczciwe albo niegodziwe próby zerwania z rewolucją francuską i powiedzieć, że ich niema i że są tylko dwie formy państwowe w Europie: feodalna sprzed rewolucji i demokratyczna porewolucyjna. Ponieważ jednak demokracja ta to też przedewszystkiem jakgdyby zaprzeczanie zaledwie dawniejszym zasadom Europy szlacheckiej, więc pogląd powyższy jeszcze można uprościć i powiedzieć, że Europa znała tylko jedną formę państwową, a mianowicie formę państwa feodalnego (albo demokracji szlacheckiej jaką była Polska), a okres porewolucyjny uznać za stopniowe tej formy rozpadanie się.

I oto ponieważ ciągle jeszcze nie widać dziś żadnych nowych koncepcyj ani ducha, któryby mógł nowe państwo począć, a feodalizm tymczasem już chyba rozpadł się do ostatniej cegiełki, a wraz z nim i jego kultura, i chaos katastrofalnie powiększa się z godziny na godzinę, więc wydało się nam pożytecznem spróbować teraz opisać czem jest państwo wogóle jako takie.

Bo co stanie się ze światem, gdy resztki

kultury szlacheckiej zaginą i przestaną pojedynkować się pepesowcy?

*

Wszyscy ludzie są jakgdyby przestępcy, ale większość ludzi nie czyni przestępstwa, bo boi się kary i dlatego nie nazywa się przestępcami. Ludzi co wchodzą w skład jakiegoś państwa można podzielić na trzy stany, a mianowicie: na dwie mniejszości i jedną większość. Jedna mniejszość — to są ci ludzie, co rządzą, co panują, druga mniejszość — to są ci ludzie, co ich nie słuchają i wyłamują się spod narzucanego przez nich porządku i przymusu. Ci są właśnie przestępcami w ścisłem znaczeniu tego słowa. Trzeci stan to bardzo znaczna większość. Jest to masa ludzka, masa bierna, co ze strachu przed batem podporządkowuje się tym co są u władzy.

Przestępcy dzielą się na politycznych i kryminalnych. Pomiędzy nimi są różnice, ale jest też i bardzo ważne podobieństwo, bo jedni i drudzy są energiczni i niezależni i nie chcą podporządkować się. Zresztą dużo przestępców niewiadomo nawet jak nazwać, czy politycznymi, czy kryminalnymi. Tak więc nasz Janosik, hiszpański Casti-Belza, angielski Robin Hood, włoski Fra Diavolo, wschodni Stieńka Razin i bardzo wielu innych sławni byli z tego, że zrabowane pieniądze rozdawali biedocie, zapisali się w legendach ludowych jako dobroczyńcy i bohaterowie i mogą być rozumiani w pewnej mierze jako przestępcy polityczni. Z drugiej zaś strony różnych nihilistów, anarchistów i bolszewików, co popełniają zbrodnie dla jakiejś mętnej i fantastycznej doktryny, a sami jednocześnie wykazują nieraz równie mętną i lichą moralność osobistą, łatwo pomieszać ze zwykłymi kryminalistami i opryszkami. Ale w każdym razie przestępcy polityczni i kryminalni są bardzo podobni do siebie, bo jedni i drudzy są energiczni i niezależni i nie mogą podporządkować się. Atoli przecież i ludzie ze stanu rządzącego pod tym względem są też bardzo podobni do nich, bo tak samo są to ludzie, co nie podporządkowują się, ale innym wolę swoją narzucają. I wobec tego choć i dzieliliśmy ludzi w państwie na trzy stany: na stan rządzących, stan przestępców i stan ludzi biernych, to podziałkę tę uczyniliśmy z punktu widzenia pozycji, jaką ludzie w państwie zajmują, jeśli jednak podzielić ludzi według ich cech osobistych, według ich skłonności do samowoli i niezależności, to trzeba uwzględnić tylko dwa ich gatunki: gatunek ludzi samodzielnych, niezależnych, do którego wchodzą ludzie rządzący i przestępcy, i gatunek ludzi biernych.

Przestępcy istnieją zawsze i jest to znamienne. Są to jakgdyby agenci, przedstawiciele tej biernej masy, która w ten sposób manifestuje niejako swoje wieczne niezadowolenie. W różnych sytuacjach można czasami przekonać się bezpośrednio osobiście, że człowiek bierny, człowiek prosty woli przestępcę, niż policjanta. Ale, naturalnie, im gorsze rządy tem więcej ludzi z tej biernej masy przechodzi do stanu przestępców, bo już nie mogą wytrzymać.

Gatunek ludzi samowolnych, niezależnych można nazwać gatunkiem ludzi rządzących, gatunkiem ludzi panujących, ludzi-panów bez względu na to czy są u władzy, czy siedzą w więzieniu, natomiast gatunek ludzi biernych można nazwać gatunkiem ludzi poprostu, ludzi zwyczajnych, bo gatunek ten jest daleko liczniejszy. Jednem słowem dzielimy ludzi na: p a n ó w i n a l u d z i.

Są rozmaite dzielenia ludzi: na mądrych i na głupich, na moralnych i na nicponów, na kobiety i na mężczyzn, na blondynów i na brunetów i t. d. i wszystkie te dzielenia potrzebne są dla takiego czy innego celu, ale jeśli patrzymy na l u d z i j a k o n a m a t e r j a ł n a p a ń s t w o, to jedynie istotnem podzieleniem jest podzielenie powyższe, czyli na panów i na ludzi. Bo państwo wynika z działania panów, co nawet jest zawarte w samem słowie. Ciekawe i śmieszne, że nawet komuniści, którzy przecież panów chcą zmieść z oblicza ziemi, też sowiety swoje nazywają państwem (odpowiednik rosyjski — *gosudarstwo*). Pomiędzy panem i człowiekiem jest olbrzymia, przepaścista różnica. Demokracja naturalnie niewiele wie o człowieku, wszystkich ludzi unifikuje, owszem unifikuje nawet kobiety i mężczyzn przez absurd jednakowego wychowania i równouprawnienia politycznego i nie wie też o tem, że są te dwa powyższe gatunki ludzkie. Jeśliby byli jacyś tacy ludzie, coby mogli żyć bez oddychania, bez tlenu, to przecież napewno nazwalibyśmy ich ludźmi wyjątkowymi. Dlaczegóż więc ludzi z gatunku rządzącego nie uznajemy za ludzi wyjątkowych w porównaniu z ludźmi zwyczajnymi, jeśli ci pierwsi żyć nie mogą bez rządzenia, bez panowania, a ci drudzy mogą? Prawdziwi artyści muszą tworzyć, a ludzie z gatunku rządzącego, prawdziwi panowie koniecznie muszą rządzić i panować i poprostu giną, umierają i idą na pewną śmierć, ale za wszelką cenę dobijają się o władzę.

Naprzykład ów wspomniany już Janosik zbójnik, jeśli wierzyć pieśni ludowej, miał takie wybitne, takie wielkopańskie cechy, że niedorzecznie jest przypuścić nawet, że mógłby on poprzestać na życiu zwyczajnem. Janosik musiał koniecznie szukać dla siebie wywyższenia, wszystko jedno chociażby na szubienicy.

I może najlepiej widać jak konieczne jest panowanie dla ludzi z gatunku rządzącego na przykładach nieszczęśliwego zabiegania o władzę, bo świadczy wówczas tych ludzi życie złamane.

Naprzykład drugi taki wielki pan, równie niefortunnie zabiegający o władzę to Norwid. Dla Janosika za pomocą ciupagi, a dla Norwida za pomocą poezji i myśli panowanie było koniecznością i ślicznie wiersz poniższy maluje boleść jego i zrujnowanie z tej przyczyny, że nie udzielono mu w Polsce debitu jako wieszczowi:

A wy, o moi wy nieprzyjaciele,
Którzy począwszy od pełności serca
Aż do ziarn piasku pod stopami memi
Wszystkoście mnie wzięli
Mówiąc: nie wie, nie widzi, nie słyszy
Wam ja z góry samego siebie ruin...

Ktoś inny, człowiek zwyczajny napewno nie rozpaczałby, jeśliby powiedziano o nim: „nie wie, nie widzi, nie słyszy”, ale Norwid należał do gatunku rządzącego. Owszem, Norwid był nawet z gatunku tyranów, wielkorządców: ani trochę nie było mu wrodzone mówić popularnie, t. zn. nie chciał i nie umiał mówić choć trochę mniej po królewsku, a trochę bardziej po ludzku i pójść z gminem choćby na najmniejszy kompromis. Norwid, to osoba wyjątkowo dumna, pyszny brylant. I śmierć jego też nie bylejaka — w paryskim przytułku dla mętów bezdomnych.

(D. c. n.)

LEON MACIAŃSKI

NA WIDOWNI

Broszura prof. Stefana Dąbrowskiego. — Nasza prasa wobec ważnych zagadnień. — Eugenika jako wyraz materjalistycznego na świat poglądu. — Medycyna i względy moralne.

WIELKIE wrażenie wywarła na mnie niewielka rozmiarami broszura, ogłoszona przed niedawnym czasem w Poznaniu, pióra prof. dr. Stefana Dąbrowskiego p. t. „Eugenika ze stanowiska katolickiego" [1]). Doczytawszy ją do końca, przedewszystkiem zadumałem się nad zjawiskiem znamiennem: Jak dalece nie należymy dziś do krajów, w których rządzi opinja publiczna! Oto dowiadujemy się, naprzykład, o projekcie polskiej ustawy eugenicznej, która łatwo może stać się prawem, wprowadzającej — za wzorem Niemiec hitlerowskich — przymusową sterylizację jednostek, podlegających ciężkim, dziedzicznym chorobom, zarówno fizycznym jak psychicznym [2]). I ta ustawa — o znaczeniu tak doniosłem, tak zasadniczem — nie jest zgoła przedmiotem dyskusji, nie wywołuje sporów, ścierania się argumentów „za" i „przeciw", cicho o niej na zgromadzeniach publicznych, głucho o niej w prasie... Wszystko rozstrzyga się poza progiem świadomości społeczeństwa...

Jest to charakterystyczną cechą naszego dziennikarstwa, nastawionego na dziesięciogroszową sensację, że za „politykę", za „sprawy serjo" uważa tylko plotki o sporach czy też „porozumieniach się" w „sanacji", o prawdziwych czy też rzekomych zbliżeniach się lub zatargach pomiędzy głośnemi osobistościami i t. p. O tem co rzeczywiście nadaje ten albo inny kształt ideowy państwu, co tak albo inaczej decyduje o warunkach życiowych każdego obywatela, o tych zagadnieniach naprawdę doniosłych, pierwszorzędnych „gazetki" nie informują niemal zupełnie. Wprowadzono w Polsce nowy kodeks karny; czyż towarzyszyły temu jakieś dyskusje, polemiki prasowe, aprobowanie albo krytyka zasad, na których został oparty, czy opinja warstwy oświeconej zorjentowała się chociaż cokolwiek w tych sprawach? Reformuje się najdonioślejszy bodaj w życiu narodu dział ustawodawstwa: prawo cywilne; i znowu — oprócz jednej tylko kwestji rozwodów, wywołującej żywszą reakcję kół katolickich — któż poza wąskim kręgiem specjalistów-prawników interesuje się sensem i zasięgiem dokonywającej się w tym zakresie przemiany?

*

Prof. Dąbrowski, omawiając niemieckie ustawodawstwo eugeniczne tudzież naśladujące je projekty polskie, słusznie bardzo położył nacisk na materjalistyczny pogląd na świat, jako ich istotne źródło i podłoże. Wskazał, że takich drastycznych środków chwyta się państwo w dziedzinie, gdzie — jak potwierdza nauka i doświadczenie — tyle jest czynników niepewnych, nie zbadanych, gdzie, jak to formułuje wymieniona wyżej ustawa niemiecka, można jedynie „z wielkiem prawdopodobieństwem przypuszczać, że... potomkowie będą obarczeni poważnemi niedomaganiami dziedzicznemi". Kto wie — dodajmy — czy jeśliby prawodawstwo eugeniczne było już wówczas w mocy, mogli byliby ujrzeć światło dzienne: Wyspiański, Beethoven?... Co do Beethovena zresztą, przewidywania eugenistów całkowicie się sprawdziły („dziedziczna głuchota", wymieniona w art. I. p. 2 ustawy niemieckiej), — a przecież my, słyszący, powinniśmy sobie chyba tylko winszować, że ten głuchy, „obciążony" osobnik chodził kiedyś po tym Bożym świecie...

Materjalistyczny pogląd na świat jako zasada ustaw o przymusowej sterylizacji w tem się, między innemi, ujawnia, że w imię uniknięcia ewentualnych szkód społecznych z narodzenia się jednostki „obarczonej", z tak lekkiem sercem decyduje się na dalsze powiększanie, niezawinionej najczęściej niedoli istot ludzkich już żyjących. Urzeczywistnia się tu podobne pojmowanie państwa i jego roli, jak to, które z ustawodawstwa usiłuje usunąć ideję sprawiedliwości, zastępując ją koncepcją „interesu zbiorowego", które więc np. w prawie karnem odrzuca zagadnienie pokuty za winę, wysuwając wyłącznie względy użyteczności społecznej („izolacja" przestępcy, „odstraszenie" i t. d.). Czy jednakże w narodach naszej cywilizacji idea sprawiedliwości nie jest... najużyteczniejsza ze wszystkich, skoro ona właśnie stanowi fundament, na którym cały ład zbiorowy się opiera? I czy opłaci się uniknięcie rzeczywistych, ciężkich nawet nieszczęść i trudności, jeśli nastąpi to za cenę podważenia tej podstawy?

*

Obok tej eugeniki materjalistycznej czysto, dla której alfą i omegą jest medycyna, istnieje inna, tradycyjna, biorąca pod uwagę czynnik moralny, a powołująca się na fakty bezsporne, znane każdemu z doświadczenia: 1) że potomstwo jest zazwyczaj, w mniejszym albo większym stopniu, psychicznie i fizycznie podobne do swoich rodziców; 2) że połączenie się dwojga osób węzłem małżeńskim jest równocześnie połączeniem się ich rodzin, środowisk, do których każda z nich należy, ich tradycyj, pojęć, ideałów, i że pod wpływem tych dwu skombinowanych atmosfer domowych wychowuje się — z reguły — następne pokolenie. Zabezpieczenie się przed zgubnemi następstwami nazbyt wielkiej rozbieżności w tym względzie dyktowało takie naprzykład zarządzenia, jak art. 24 „Prawa o małżeństwie" (z r. 1836) w Król. Kongresowem, postanawiający, iż: „Różność religij stanowi przeszkodę do małżeństwa między osobami wyznającemi religję rzymsko-katolicką i osobami nie należącemi do żadnego z wyznań chrześcijańskich". Podobną troskę widać w dekretach rządu faszystowskiego o niełączeniu się osadników włoskich z tybulczą, czarną ludnością Etjopji (chociaż ze stanowiska eugeniki medycznej rzecz nie budziłaby żadnych zastrzeżeń), w dążeniu do zapobieżenia związkom małżeńskim pomiędzy Europejczykami i żydami i t. d.

---

[1]) Dr. Stefan Dąbrowski, prof. Uniwersytetu Poznańskiego: „Eugenika ze stanowiska katolickiego". Poznań, Bibljoteczka Akcji Katolickiej Nr. 21.

[2]) Projekt polski posuwa się nawet dalej od prawa niemieckiego, wprowadzając ubezpłodnienie w wypadku haemofilii, co w ustawie niemieckiej jest wyłączone, gdyż, jak oświadczył na XI Zjeździe Międzynarodowej Federacji Tow. Eugenicznych prof. Rüdin: „choroba ta o dziedziczności macierzyńskiej wykazuje tę własność szczególną, że jest przekazywana przez kobiety, należące do rodzin dotkniętych tą skazą, gdy one same są jej pozbawione i że wobec tego ludność nie zrozumiałaby, że się sterylizuje osobę, mającą pozory zupełnego zdrowia" (str. 40—41).

Oczywiście, taka „eugenika” nie wymaga żadnych zabiegów lekarskich, a na jej straży stają przedewszystkiem czynniki o charakterze moralnym: tradycja, obyczaj, opinja publiczna. Ale jest najzupełniej właściwe, jeśli w tej kwestji występuje równocześnie Państwo z sankcją prawa, które, jak słusznie głosi Wyspiański w „Wyzwoleniu”, nie może i nie powinno ścierpieć, kiedy wskutek mnożących się „małżeństw mieszanych” — „wytwarza się tłum ludzi obojętnych dla naszego narodowego społeczeństwa, którzy je zaprzedają”.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ZMIANA USTROJU POLITYCZNEGO W POLSCE IDZIE, MIMO PROGRAMOWYCH, MECHANICZNYCH POSUNIĘĆ „SANACJI” DROGĄ EWOLUCJI. Żywioły, które rzeczywiście interes partji, klasy stawiały przed dobrem Narodu znalazły się, kierowane jedyną busolą—oportunizmem w obozie uprzywilejowanym, a na polu walki dziejowej pozostały dwa prądy: idealistyczny nacjonalizm i materjalistyczny komunizm. Ostatni wszakże okres, wydobył na powierzchnię prąd trzeci. Nazywają go ludowym, ale to nie jest ścisłe.

W rzeczywistości jest on w swoim ideale i typie psychicznym rodem właśnie z miasta. Nawet nibyto nowatorska koncepcja agraryzmu opiera się w duchu swym na kapitalistycznej stabilizacji. Jest coś niezwykle przykrego w owej ciągłej, bezustannej sprzedaży chłopom tandetnej, szarej miejskiej kapoty. A handel ostatniemi czasy ożywił się niezwykle.

Przed paroma tygodniami wytrawny publicysta p. B. K., pisał w „Kur. Warsz.”, omawiając zjazd w Nowosielcach, co następuje:

„Tak się przytem złożyło, że pomimo nieobecności w kraju tak popularnego polityka i przewódcy ludowego, jakim jest Wincenty Witos oraz dwu innych wybitnych działaczy ludowych d-ra Wład. Kiernika i Kazimierza Bagińskiego, znalazło się tutaj kierownictwo chłopskie, znaleźli się utalentowani politycy, którzy lubo działając wśród niemałych przeszkód, umieli nadać ruchowi ludowemu piętno wybitnie narodowe i wydobyć masy ludowe z atmosfery malkontenckiej bierności duchowej... Był czas, kiedy można było obawiać się, że nie napróżno będą liczyły na sukurs mas chłopskich te wszystkie żywioły, które pragną w Polsce głębokiego przewrotu zarówno politycznego jak społecznego... Na szczęście, dzieje się w Polsce inaczej; puste hasła radykalne nie znajdują na wsi, rozumnie prowadzonej przez wytrawnych działaczy ludowych, szerszego echa; za to rozwija się tam ideologja wybitnie narodowa, oparta na ujmowaniu całości polskich interesów zbiorowych“.

„...Puste hasła radykalne nie znajdują... itp.” Polityk nie wysnuwa z faktów wniosków łatwych, chyba, że je chce wysnuć. „Ideologja wybitnie narodowa” panuje na wsi nie z powodu pracy „wytrawnych działaczy ludowych”, ale właśnie mimo nich. Inicjatorem sypania kopca ku czci Michała Pyrza był wybitny publicysta, chłop z pochodzenia ale nacjonalista z przekonań. Dyskutował on w czasie zjazdu nowosieleckiego z przywódcami ruchu ludowego na temat żydowski. Tak się bowiem jakoś zawsze składa (inaczej widocznie być nie może), że przy każdej okazji wypływa kwestja żydowska. I w dyskusji bronił chłopa a przeciwstawiał się poglądom identyfikującym i stawiającym na jednej płaszczyźnie proletarjusza Polaka i proletarjusza żyda.

Skomplikowało się życie polityczne Polski. Ale tylko pozornie. Mimo wszelkich cech powrotu „partyjnictwa” (nawet złośliwie triumfującego) dokonywa się w dalszym ciągu proces zwycięskiego pognębiania przeżywających się, w swej krasie (dosłownej...) przekwitających doktryn materjalistycznych. Mimo szerokiego, znacznie szerszego aniżeli „front ludowy” frontu antynarodowego, idea narodowa dochodzi do głosu. Inaczej być nie może. Tego chce życie.

O SERWILIŹMIE

(GŁOS Z ROKU 1879)

O SERWILIŹMIE, który toczył Rzeczpospolitą szlachecką, istnieje cała literatura. Smutne są też tradycje z czasów niewoli. Oto jeden z głosów ostrzegawczych i karcących, wydobyty z pism Agatona Gillera (Bruksela 1879). Giller pisywał wtedy pod pseudonimem: Samotnik spod Gołogór.

„Staranie o łaskę rozwinęło się w naszych czasach w system polityki służalczej. Są pewne prawa i zasady, są pewne ideje i cele, których dla żadnej, chociażby największej, czasowej korzyści nie może zrzekać się naród. Taką zasadą jest zasada wolności człowieka, występująca jako prawo boskie i przyrodzone, które wszelkie przeobrażenia polityczne i postanowienia, zadekretowane mimowoli albo wbrew woli narodu, pozbawia prawnej, sumienie obowiązującej podstawy.

Kto dla czasowych korzyści lub jakichkolwiek innych przyczyn ogranicza, tłumi lub powstrzymuje rozwój żywotności narodowej, ten uszczupla, tłumi i niszczy samo źródło życia, ten dopuszcza się zamachu na ducha narodu.

Gdy denuncjacja, podniesiona do wysokości obowiązku publicznego, pocznie grasować, zniknąćby musiała pomiędzy Polakmi nietylko siła zaczepna, ale nawet ich potęga obronna, która była tarczą żywotności polskiej w dniach największego prześladowania.

Eksperymenty gwałtu były dotąd bezskuteczne, po rozszerzeniu się zasad polityki serwilizmu, nie potrafilibyśmy przetrwać próby ucisku. Propaganda ta niezmiernie gorliwie i zręcznie jest prowadzona; przemawia z katedr uniwersyteckich i rozszerza się przez dzieła uczonych a zdolnych pisarzy, chętnie się ubiera w katolickie konserwatywne barwy — jakkolwiek jej konserwatyzm jest nowej daty, a katolicyzm wątpliwy. Antynarodowy, przeciwny interesowi całego narodu charakter tej polityki ukrył się bardzo zręcznie, tym sposobem zachował pozory patrjotyzmu, któremi obałamucił umysły wielu.

Więzienia zapełnione są patrjotami.

Ślady wszelkiej autonomji zniszczone.

Sprawiedliwość jako narzędzie politycznej zemsty.

Na wielką skalę rozwinęło się służalstwo które, jak Mickiewicz uważał, jest dla psa zasługą dla człowieka grzechem.

Serwiliście niepodobna pozostać czystym i nieskazitelnym.

System to najgorszy ze wszystkich, bo brudzi dusze i łamie charaktery. Oburza się przeciw niemu sama natura.

Sztucznemi sposobami doszła u nas do znaczenia i do przewodnictwa fakcja serwilistów; odrzucając zasady oraz ideje, jakiemi się wzmacnia żywotność narodu, odrzuciła z niemi wszystko, co uprawnia stronnictwa do zajmowania głosu w imię ogółu ludności i nadaje im charakter reprezentacyjny narodu. Zamiast życia rozwija w narodzie pierwiatki śmiertelnej choroby i zabija w nim siłę, moc, potęgę uzdrawiających zasad, ażeby wbrew godności narodowej, z rycerzy wolności zrobić żołdaków despotyzmu. Sprawa praw człowieka i praw narodu została przez nich sfałszowana.

Taka polityka może być rozgrywana tylko przez zakryte karty.

Wspierani przez rząd, rozporządzając szafunkiem różnych miejsc, doszli do stanowiska dominującego, z którego zarzucają sieci na całą Polskę. Mamy więc do czynienia z fakcją spiskującą przeciw własnemu narodowi.

Widzimy działanie propagandzistów, pracujących z gorliwością godną lepszej sprawy nad zatraceniem w narodzie ducha wolności i niepodległości, posiadających większość pomiędzy reprezentantami narodu, którzy przy poparciu władz, nadawszy sobie pozory rzeczywistych sterników opinji publicznej, ogłosili się za „moralny rząd", jakiemu wszyscy winni są posłuszeństwo i solidarne poparcie.

Nam jednak nie o zmienne kombinacje polityczne tu idzie, ani też o jakikolwiek interes, lecz o interes narodowy, o obronę zasad narodowych i polskiego patrjotyzmu.

Serwilizm jest chorobą znikczemnienia, na którą umierają narody.

Największem zaś niebezpieczeństwem jest szerzenie się służalstwa, które może zabić zdrowe pierwiastki w narodzie i zniszczyć wolę politycznego odrodzenia. Trzeba się więc bronić od niego w podobny sposób, jak się bronią ludzie od morowej zarazy, to jest zupełnem odosobnieniem tych obywateli, którzy je przyjęli w swe dusze".

NAUKA i LITERATURA

Z DZIEJÓW POLSKIEJ MYŚLI DEMOKRATYCZNEJ

JAKO tom trzeci „Bibljoteki dziejów i kultury wsi" ukazała się książka „Na drogach myśli ludowej. Studja historyczno - literackie" (Lwów 1936. Skład u Gubrynowicza). Autorem książki jest znany polonista dr. Michał Janik.

To, co Janik nazywa „myślą ludową" nie jest myślą ludu, lecz myślą sfer inteligentnych i literackich o ludzie. Przyczem pod wyrazem „lud" rozumieć trzeba ludność włościańską wsi polskiej. Książka Janika jest przyczynkiem do dziejów umysłowości polskiej XIX wieku w tym dziale, gdzie wątkiem myśli była idea ludu; jest to kartka z dziejów myśli demokratycznej, nie pozbawiona przytem tendencji propagandowej.

Lud polski, osiadły na wsi, jest częścią narodu i to większą częścią, decydującą o istnieniu fizycznem narodu i o jego charakterze etnicznym. Jest to *etnos*, co w słownictwie greckiem znaczy to samo, co naród. (Rosjanie dla ludu mają nazwę: „*narod*"). W tym charakterze podlega on badaniom naukowym jako formacja zabytkowa kultury narodu. Nad tak pojętym „ludem" pracuje w nauce etnografja, a potem historja kultury i rozwoju gospodarczego narodu.

Do tego właśnie warsztatu historji wsi polskiej wpadła książka Janika. Bo trzeba wiedzieć, że wydał ją, uznawszy za odpowiednią, słynny badacz historji gospodarczej Polski, prof. Franciszek Bujak, twórca odpowiedniej katedry (Uniw. Jana Kazimierza) i specjalnego Instytutu Naukowego, prezes Lwowskiego Tow. Naukowego.

Prof. Bujak, sam pochodzący ze wsi, „ludowiec" z przekonań, należy do najtęższych historjografów i myślicieli polskich. Nikt dotąd nie wiedział tyle, co on, o życiu i znaczeniu ludu w dziejach Polski, nikt od niego nie znalazł się na lepszej drodze do zdobycia (przez poznanie ludu) wiedzy o psychice narodu polskiego i jego kulturze. Prof. Bujak przez przedmowę, dodaną do książki Janika, wcielił tę pracę, jako przyczynek, do skarbnicy swego materjału historycznego.

To, co myślała patrjotyczna czy rewolucyjna inteligencja XIX wieku o ludzie wiejskim, nie jest dla dziejów ludu rzeczą obojętną. W literaturze inteligenckiej mamy widok wsi trochę fantastyczny (jakbyś patrzył na odbicie pejzażu w niespokojnej wodzie), ale mamy też ślady czynnego oddziaływania inteligencji na życie ludu. Edward Dembowski nietylko tworzył (w Poznaniu) filozoficzny system ludowładztwa, ale potrafił ten lud prowadzić na Kraków (1846) i za jego sprawę życie położyć. Goszczyński nietylko poezje i rozprawy na tematy demokratyczne pisał, lecz ten lud w Galicji (1832—1838) do walki organizował.

Gdyby nie znakomita przedmowa prof. Bujaka, streszczająca dzieje wsi polskiej na tle przemian życia gospodarczego w Polsce, moglibyśmy pracę Janika wziąć za broszurę agitacyjną z zakresu polityki rewolucyjnej. Ta bowiem myśl, którą on się zajął, nie jest wcale ludowa, jeno demokratyczna ze względu, że przedmiotem jej jest *demos*, nie zaś, jak u Bujaka *etnos*. Poeci romantyczni, idealiści społeczni i działacze XIX w. nie zajmowali się tem, co lud wnosi do życia cywilizacji polskiej, lecz tem, co ta cywilizacja winna ludowi dać. Była to idea forsowania dziejów w celu przyśpieszenia bodaj w drodze rewolucyjnej tego, co w dziejach odbywa się ewolucyjnie.

Na tem polu eksperymentów dziejotwórczych rozróżnić trzeba dwa wątki myśli „ludowej", które w pracy Janika nie dość są rozróżniane: 1) myśl patrjotyczna pozyskania ludu dla sprawy wyjarzmienia Polski, 2) myśl socjalna zbudowania Polski w ustroju ludowładczym (demokratycznym). Te dwie ideje: patrjotyczno-militarna i socjalno-rewolucyjna nieraz bywały w antagoniźmie, najczęściej jednak w umysłach romantycznych zlewały się z sobą, przyczem pierwiastek patrjotyczny (zwłaszcza u poetów) wyraźnie brał górę, Ta sama dialektyka widoczna jest u Janika i to samo zacieranie różnic uczuciowością patrjotyczną, zasadniczy jednak punkt patrzenia Janika wydaje się być socjalno-rewolucyjny. Świadczy o tem rozdział pierwszy, mający charakter broszury agitacyjnej. Bardziej objektywny historycznie jest rozdział drugi: „Sprawa ludowa na Litwie w XIX w." Najlepszy szkic: „Berwiński i Wyspiański" ma wartość historyczno-literacką.

O nastawieniu autora świadczy szkic V: „Motyw zemsty ludu w poezji listopadowej" (do r. 1863), gdzie wyraźnie przeprowadzona jest idea krzywdy i naturalnej reakcji, jako zemsty na szlachcie. Nie dodaje to jasności poglądom na rzeź hajdamacką lub na rzeź Szeli. Pewna naiwność ideałów saint-simonistów udzieliła się Janikowi, nieodrodnemu romantykowi. Daleki od pojmowania gospodarczej rzeczywistości, uważa za hańbę szlachty, że nie dokonano uwłaszczenia włościan bez żadnego odszkodowania.

Prof. Bujak w przedmowie nastawia czytelnika na właściwy punkt widzenia, traktując widocznie pracę Janika jako komentarz, dotyczący wyobraźni poetyckich wieku. Pisze:

„Ściśle mówiąc, dobra wola szlachty nie mogła tu wystarczyć, albowiem zniesienie poddaństwa i uwłaszczenia podlegało wtedy władzy ustawodawczej i administracyjnej państwa tak absolutnego, jak konstytucyjnego, tembardziej, że do ich spokojnego i legalnego załatwienia trzeba było uruchomić kredyt państwowy, względnie przez państwo gwarantowany w ogromnych rozmiarach".

Oczywiście o tych poziomych rzeczach Janik w poezji romantycznej wyczytać nic nie mógł. Świadectwo poetów zmierzało do bezwzględnego potępienia szlachty w oczach historji i w oczach ludu, wykonawcy „zemsty".

Prof. Bujak jest sprawiedliwym sędzią, bo wszystko rozumie. Nie znam głębszej charakterystyki ludu polskiego, jak ta, którą ten znakomity uczony wyłożył treściwie w referacie swoim na konferencji oświatowej w Łowiczu (1930). Rzecz ta była ogłoszona w książce „Kultura wsi" (Warszawa 1930). Z tego studjum psychologiczno-historycznego wynika, że inteligencja polska pod wpływem prądów rewolucji francuskiej gospodarowała w „myśli ludowej" bez udziału ludu. Lud polski wiele cierpiał, zwłaszcza ekonomicznie, ale bynajmniej nie w krzywdzącej hierarchji socjalnej zło upatrywał; daleki był od myśli rewolucyjnej i sam w sercu swojem uczucia zemsty nie żywił.

Trudno o sprawiedliwe ferowanie wyroków historji na podstawie tego, czego od rzeczywistości domaga się myśl romantyczna i rewolucyjna. Z. W.

RUCH WYDAWNICZY

Ze studjów literackich, które w tym roku się ukazały, wysuwa się na czoło znakomita monografja o Konradzie Korzeniowskim prof. Józefa Ujejskiego (Warsz. 1936, Dom Książki Polskiej, str. 301). Łączy ona w sobie zalety dzieła naukowego z powabem artyzmu literackiego. To znaczy, jeśli chodzi o czytelnika, przeczyta ją z upodobaniem każdy, kto w powieściach Conrada, tak popularnych w Polsce, doszukiwał się tajemnicy, kim jest tak niepokojąca osobistość ich autora, Polaka w angielskiej skórze.

Prof. Ujejski na pierwszy plan wysunął właśnie to zagadnienie polskości tego pisarza: Conrad i Polska. Rozwiązuje to skomplikowane zagadnienie w sposób tak wyczerpujący, że rozdział ten starczy za portret; widać tam całą osobistość. Potem następują rozdziały o Korzeniowskiego stosunkach do świata i do sztuki, dalej jest mowa o świecie jego powieści, wreszcie synteza, dająca ogólną formułę osobowości.

Keiążka prof. Ujejskiego przyszła w porę. Zbyt wiele bowiem mówiło się u nas o Korzeniowskim, aby przeciętny czytelnik mógł z tego wyłowić jasny na zjawisko pogląd. Portret Ujejskiego porządkuje pojęcia i staje się nieodzownym przy czytaniu Conrada przewodnikiem. Nie dość było przełożyć dzieła Korzeniowskiego, należało je Polsce przyswoić. Uczynił to w sposób bardzo skuteczny autor niniejszej monografji. (W.)

*

Józef Weyssenhoff: „Kronika rodziny Weyssenhoffów, zestawiona podług dokumentów przez Józefa Weyssenhoffa, wydana po śmierci autora staraniem i nakładem Waldemara Weyssenhoffa, z kilkoma przypiskami w tekście i poprzedzona krótkim zarysem historji Inflant". Wilno 1935. Odbito 250 egzemplarzy. Wydanie ozdobione 12 reprodukcjami w tekście. Str. 196.

W słowie wstępnem tej „Kroniki" *in folio* pisze p. Waldemar: „(Brat mój) przez lat 40 gromadził pomału, lecz systematycznie, materjały, zbierał dokumenty i powiadomienia o rodzinie, studjował historyczne tło epok minionych. Pomagało mu znakomicie w tych dociekaniach wrodzone usposobienie do kolekcjonowania starych druków i zabytków, oraz niepospolita erudycja w dziedzinie polskiej numizmatyki, tak ściśle związanej z historją kultury polskiej i dziejami szlachty w szczególności".

Rozmiłowanie i znawstwo numizmatyki, heraldyki, znaczenia i hierarchji urzędów, paleografji, sztycharstwa i sfragistyki, przejawione w „Kronice" w sposób zawodowy i reprezentacyjny, ciekawie oświetla drogi twórczości autora „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego".

Na temat powieściopisarstwa powiedział Dionizy Henkiel, esteta, redaktor dawnej „Gazety Polskiej", że „dobrą polską powieść może napisać tylko historyk". Ironiczne o dzisiejszych powieściopisarzach i powieściopisarkach spostrzeżenie wyraził J. Weyssenhoff: „Piszą, a nic nie wiedzą". On wiedział.

Sentyment i znajomość historji polskiej były jagdyby osią główną pisarstwa Weyssenhoffa i jego uprawioną pracowicie glebą rodzącą.

„Kronika rodziny" jest tej pracy fragmentem, złomem marmuru wielkiego klasycznego posągu. Z historji Inflant Polskich (Łotwy i Estonji), skreślonej piórem rasowego historyka, ich ery pogaństwa, postępu misji Kościoła, krzyżujących się wpływów Wschodu i Zachodu i dyplomatycznej roli króla Zygmunta Augusta, wyłania się historja rycerskiego, niemieckiego rodu, mającego, „rzec można bez wszelkiej przesady — jakoby powołanie do szczerego obywatelstwa polskiego".

Życiorysy Weissów-Weisenhofów, oparte na różnego pochodzenia i typu aktach niemieckich, łacińskich i polskich, dekretach sądowych, diarjuszach sejmowych, listach królów i biskupów, i cytatach z herbarzów i studjów naukowych ukazują ich stosunki rodzinne, zajmowane przez nich stanowiska wojskowe i urzędowe inflanckie, polskie i litewskie, wreszcie stan majątkowy. Przeważnie służyli wojskowo w obronie granic państwa i celem utrzymania przy Polsce rodzinnych Inflant. Dobrze się sprawom kraju zasłużyli.

„Kronika" odzwierciadla życie tego rycerskiego rodu, a jako rezultat umiejętnej pracy naukowej jest ważnym dla dziejopisarstwa Polski przyczynkiem. (A. W.)

*

Dr. Adam Bar: „Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich, oraz Polski dotyczących." Tom I, Kraków, 1936 r.

Kustosz Bibljoteki Jagiellońskiej w Krakowie, na podstawie nowych, pracowicie w ciągu lat zebranych materjałów, wydał pierwszy tom, zamierzonego na pięć tomów, wydawnictwa. W alfabetycznym porządku, na razie od litery A do K nazwisk, odkrywa, demaskuje autorstwo pisarzów, którzy w literaturze oficjalnie pod wyłącznie własnem nazwiskiem występowali. Ten dział bibliografji był dotychczas opracowywany powierzchownie, przygodnie, a trudność w traktowaniu przedmiotu wynikała z natury rzeczy, i nadal będzie tej pracy towarzyszyć, z powodu że tajemnicy autorstwa chroni nie tylko pseudonim, ale redakcja czasopisma czy wydawnictwa książki.

Jak ściśle ta tajemnica bywa dochowywana, za przykład może posłużyć historja pseudonimu Wieniawskiego, (Jordana), autora poczytnych swego czasu humoresek z życia ziemiaństwa: „Wędrówki delegata", „Podróż pana Marka i Agapita na wystawę rolniczą w Warszawie" i „Listy Jordana do pana Jana". Dopiero po wielu latach, z racji jubileuszu pracy Wieniawskiego, radcy Tow. Kred. Ziemskiego w Warszawie, została owa intrygująca czytelników tajemnica wyjaśnionia.

Niektórzy autorzy używali po kilka pseudonimów. Henryk Rzewuski, (Michałowski, Jarosz Bejta, Filipowicz). Powieściopisarz i krytyk Marjan Gawalewicz używał podobno pięciu pseudonimów, a nawet, współpracując pod temi pseudonimami w kilku czasopismach, z racji jakiejś wówczas aktualnej kwestji, sam z sobą polemizował.

Dzieło A. Bara, gruntowne, na naukowym poziomie, ma, poza ciekawostką, dla studjów historyków i krytyków literatury pełne, doniosłe znaczenie. (A. W.)

*

Judaeus Quidam, zdający w nr. 25 „Wiadomości Literackich" sprawę z książki Gastona Chérau: „*Le mulet de Phidias*", ma kłopot nielada. Nie słyszał bowiem nigdy o instrumencie, jak powiada „osobliwym", zwanym „*vielle*". Zagląda więc do Larousse'a i czyta, że jest to „instrument muzyczny, posiadający struny i klawisze, wprawiany w ruch przy pomocy korbki". Ale i to go nie oświeciło. Jeszcze raz w końcu recenzji głowi się nad tem, co to może być za instrument owa cudacka *vielle*.

Jakiż sens moralny z tego się wywodzi? Oto ten, że chcąc pisać po polsku o literaturze francuskiej, nie dość mówić jako tako obu językami, ale trzeba jeszcze znać kul-

turę obu narodów. Gdyby p. Quidam bywał po polskich odpustach i jarmarkach, toby się niewątpliwie domyślił w „osobliwej“ francuskiej „*vielle*“ — staropolskiej, słowiańskiej, dziś już tylko dziadowskiej liry...

Ale nawet bliższa znajomość polskiego obyczaju nie jest tu konieczna. Trudno! dzieciństwa swego p. Quidam nie odrobi. Ale i dziś jeszcze może uzupełnić braki wykształcenia. Niech przeczyta sobie „Lirnika wioskowego“, „Ogniem i mieczem“, niech oebjrzy sobie „Wernyhorę“, niech pójdzie do teatru na „Wesele“, a wszędzie znajdzie ów cudacki instrument—lirę, we Francji zwaną: „*vielle*“. (A. CH.)

MUZYKA

W ZESZYCIE ósmym kwartalnika „Muzyka Polska” (grudzień 1935) czytaliśmy słowa następujące:

„Filharmonja Warszawska od lat z górą trzydziestu trwała, jako ostoja muzyki symfonicznej. Dzięki niej zapoznawaliśmy się z muzyką Zachodu, dzięki niej słyszeliśmy pierwsze wykonania kompozycyj Karłowicza, Szymanowskiego, Różyckiego, dzięki niej młodzi nasi kompozytorowie mogą słyszeć swe dzieła, nietylko oglądać je na papierze. Nie będę wchodził w bolesne przyczyny tego faktu, ale muzycy Orkiestry Filharmonijnej głodują.

O kilka ulic od Filharmonji wznosi się (ongiś) przybytek Opery Polskiej, wsławiony imieniem Moniuszki. Dobre widowiska operetkowe przeplatają się tam kiepskiemi przedstawieniami operowemi. Kosztuje to 340.000 rocznej subwencji. $10^0/_0$ tej sumy uratują Filharmonję!”

Istotnie — dysproporcja olbrzymia.

Poruszamy tę sprawę bynajmniej nie dlatego, ażeby gardłować przeciw poparciu działalności jedynego (oprócz Poznania) teatru operowego w Polsce. Podpisujemy się przecież obydwiema rękami pod zdaniem, które w numerze siódmym tejże „Muzyki Polskiej” wypowiedział Teodor Zalewski: „Jest nie do pomyślenia, żeby w naszem wielkiem państwie nie było ani jednej poważnie prowadzonej opery. W sąsiednich Niemczech jest czynnych ponad 60 teatrów operowych, w Czechosłowacji 11, u nas wegetuje „prywatnie” dwa”. I znowu powiemy otwarcie, że dysproporcja olbrzymia.

Ale, mimo całą troskę o należyte postawienie Opery, nie możemy zapomnieć, że członkowie Orkiestry Filharmonicznej głodują, co oczywiście nie odbija się korzystnie na pracy zespołu. Pozatem przydałyby się w samym jej zespole pewne korektury, np. powiększenie skrzypiec. Orkiestra Filharmonji Warszawskiej stanowi pozycję jedyną w swoim rodzaju. Musi to być pozycja jaknajbardziej poważna, jaknajlepiej postawiona.

Jest jeszcze kawał czasu do chwili pierwszego inauguracyjnego koncertu. Można pomyśleć i zaradzić. W przeciwnym bowiem razie chwila ta może się odwlec jak dwa lata temu. Nieprzyjemne wspomnienie. Lepiej i myślą nie powracać.

Tak tedy nie uszczuplając szkatuły Opery (zwłaszcza wobec zapowiedzi wcale cieszących), znajdźmy owe $10^0/_0$ dla Filharmonji.

A Operze przyklaśnijmy za chęć, ambicję wystawienia „Strasznego Dworu”. Kozklejone (już!) afisze głoszą, iż reżyserja spektaklu spoczywa w ręku Zelwerowicza. Otóż może nareszcie odsuniemy się nieco od owej przykrej operowej maniery, która wszystkim w gardle kością stoi. Uzdrowienie opery dokonane być może jedynie przez formę. Formę sceniczną, śmiałą inscenizację.

Czekamy więc. Z dużą niecierpliwością, zwłaszcza że Komitet Towarzystwa Wydawniczego Muzyki Polskiej, pod przewodnictwem profesora Henryka Opieńskiego dokonuje wydania świetnego, najbardziej rasowego dzieła Moniuszki w jego pierwotnej orkiestracji, skromnej, że aż naiwnej, ale właśnie dlatego cennej i bliższej cichemu miejscu urodzenia i kraju lat dziecinnych kompozytora. „Czy” — zapytywał prof. Stanisław Niewiadomski — „akompanjament tu i owdzie trudniejszy, czy harmonje zuchwalsze (pyszne wyrażenia Moniuszki!) niż te, na które sobie normalnie pozwalał, byłyby mu przyniosły „europejskość”? Czy nawet skonstruowanie kilku, lepszych niż pozostawione, kwartetów smyczkowych byłoby mogło nadać mu w naszej sztuce godność wyższą nad tę mu przyznawaną i czy wszystko razem byłoby go mogło ocalić od zarzutu dzisiejszych wyznawców modernizmu, że muzyka jego już się przeżyła?...” Słowa słusznie pisane przeszło dziesięć lat temu. Obecnie zarzuty dzisiejszych wyznawców... i t. p., już się przeżyły, a muzyka Moniuszki nie. Nawet odnosi sukces za sukcesem. Jeden z nich skłonił — mało — zmusił do wydania partytury „Strasznego Dworu”. Pieniądze dał Fundusz Kultury Narodowej. Szkoda tylko, że przy tem wszystkiem musieliśmy się najeść wstydu. I to wśród obcych. Ale już lepiej o tem nie mówić.

W. NARUSZ

NOWE KSIĄŻKI

Berdiajew Mikołaj. Nowe średniowiecze. Warz. 1936. „Rój”.

Kulleschitz Fryderyk. Reis dokoła świata. Warsz. 1936. „Rój”.

Przegląd Współczesny. Miesięcznik. Warszawa lipiec 1936.

Lurczyński Miecz. Judasz (Poemat). Warsz. 1936. Nakł. przyjaciół autora.

Ruch Literacki, marzec-kwiecień 1936.

Niepodległość. Tom XIV, zesz. 1.

Wojtkiewicz-Strumph St. Pasierb Europy. Powieść. Warsz. 1936. Wł. Michalak i sp.

Rocznik Literacki za 1935. Wars. 1936. Instytut Literacki. Str. 344.

Pirożyński Marjan O. Zakony Żeńskie w Polsce — Lublin 1935. Tow. Wiedzy Chrześć. S. 252.

Dowbor-Muśnicki Józef Gen. Moje wspomnienia. Warszawa 1935. str. 303 i 172 (załączniki). Z ilustr.

Skrzynecki Antoni. Wierzę. Powieść. Łomża 1936. Bibl. dobrych książek.

Szaniawski (Klemens Junosza). Pod wodę. Łomża 1936. Bibl. dobrych książek.

Nowakowski Fr. ks. Promienna droga. (Włocławek) 1936. S. 160.

Nauka polska, jej potrzeby organizacja i rozwój. Tom XXI. Warsz. 1936. Kasa im. Mianowskiego. Str. XVIII i 453.

Katalog wydawnictw Kasy im. Mianowskiego. Warsz. 1826. Str. 113 i XI.

Ortwin Ostap. Próby przekrojów. Ze studjów nad teatrem, liryką i powieścią. 1900-1935. Ze słowem wstępnem Juljusza Kleinera i Wład. Kozickiego. Lwów 1936: Wydane przez Komitet jubileuszowy 30-lecia działalności autora — z zasiłku Min. Wyz. i Ośw. Księg. B. Połonieckiego Str. XII i 393.

Janik Michał. Na drogach myśli ludowej, Studja histor.-literackie z przedmowa F. Bujaka. Lwów 1936. Bibl. dziejów i kultury wsi. Str. XV i 108.

Doboszyński Adam. Gospodarka narodowa. Wyd. II przejrzane i uzupełnione. Warsz. 1936. Skład gł. w admin. „Myśli Nar”. Str. 327.

Miller Antoni dr. Pierwsza porozbiorowa konspiracja litewska. Spisek ks. Ciecierskiego 1796-1797. Studjum historyczne. Kraków 1936. Księg. Katolicka. S. 125.

Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich. Opracował Adam Bar przy współudziele W. T. Wisłockiego i T. Godłowskiego. Tom I (A-k). Kraków 1936. Skład gł. Gebethner i Wolff. S. XXXVIII i 230.

Dzierżawski Al. (Al). Świnie i koryto. Bajki polityczne (Warsz. 1936). S. 125.

Muszkowski Jan dr. Życie książki. Warsz. 1936 Nasza księgarnia. S. VIII i 347.

Zaranie Śląskie. Cieszyn — Katowice. R. XI zesz. 2.

POKŁOSIE

RODOWODY

W OSTATNICH czasach coraz częściej rozlega się w publicystyce sanacyjnej rozmaitych odcieni głos oburzenia na to, że „endecja” wywiesza sztandar narodowy i śmie się tytułować stronnictwem narodowem, kiedy „narodowi” to jesteśmy właśnie „my”.

Niedawno „Naród i Państwo“, organ t. zw. „naprawiaczy” pisał:

„Dlaczego endecja przyciąga młodzież i w czem to jest objaw niezdrowy? Każdy rozsądny Polak winien się cieszyć, że w okresie, gdy socjalizm i komunizm międzynarodowy wyruszył na podbój wszystkich narodów, młodzież polska instynktownie garnie się pod sztandary narodowe i staje się nader wrażliwa na sprawy narodowe. Smucić się natomiast i wstydzić należy, że wyraźnie i niedwuznacznie podniosła sztandar narodowy w Polsce właśnie grupa przeżytych i zbankrutowanych polityków ugodowych, zdobywając przez to potężny zastrzyk młodej i zdrowej krwi do swych starczych żył... Mimo cały ten ubogi i kołtuński program „stronnictwo narodowe” jest tymczasem w Polsce najliczniejsze. Nie ulega wątpliwości, że popularność swoją obóz prawicowy zawdzięcza przedewszystkiem sprytnemu przywłaszczeniu sobie monopolu na hasła narodowe. Obóz „prorządowy” ze swej strony, jak gdyby naumyślnie i planowo przez długi czas czynił wszystko, aby utrwalić przekonanie, że narodową jest w Polsce tylko endecja... Ani się spostrzeżono, jak na podłożu „wychowania państwowego”, pozbawionego głębszych korzeni narodowych, zaczęły się wytwarzać prądy kosmopolityczne, lub wręcz nawet antypaństwowe, które hamować wypadło już sądom państwowym. Z drugiej strony więzienia zaczęła zapełniać polska młodzież narodowa, myląca się, zanarchizowana, lecz, trzeba to przyznać, ideowa i mimo wszystko niekoniecznie ściśle i zawsze „endecka”. Zmuszono ją do tego, by była endecką, przeciwstawiając ideologję „państwową” ideologji „narodowej” jako „endeckiej””.

A dalej czytamy tam:

„W obliczu rosnących wpływów Moskwy i sfer międzynarodowych z nią współdziałających, tylko idea narodowa może uratować cywilizowane narody przed zalewem barbarzyństwa moralnego i niwelacją powszechną. W okresie wojny nie należy składać broni i popisywać się liberalizmem; trzeba budować armję. Dziś armja — to cały naród. I przedewszystkiem naród polski, a nie „obywatele Rzeczypospolitej”. Chyba nikt nie odważy się twierdzić, że w okresie tworzenia się Państwa Polskiego w r. 1918 — 1920 „wszyscy obywatele” dzisiejszej Rzeczypospolitej (a więc i Niemcy, żydzi, Ukraińcy, Litwini) odzyskali niepodległość Polski. Natomiast garnęli się do wojska Polacy z całego świata; oni Polskę tworzyli, i oni jej bronić będą. Nawet już z tego wypływają dość zdawałoby się wyraźne wytyczne na przyszłość”.

Sądzę, że warto było przytoczyć te ustępy na dowód tego jak idea narodowa zdobywa sobie coraz szersze pole wpływu. Jest to oczywiście zjawisko niezmiernie pocieszające, pozwalające przejść z humorem obok niemądrych wycieczek o ugodowości i przeżyciu. Irytacja i smutek autora na widok tego, że sztandar narodowy wyraźnie i niedwuznacznie podniosła w Polsce właśnie „endecja” są niesłuszne, o czem łatwo przekonałby się rzucając okiem nieco dalej wstecz, poza dzień wczorajszy. Dostrzegłby wtedy z łatwością, że ludzie, kierunkiem mu bliscy, wyklinali ideję narodową, jako wstecznictwo, grożące postępowi ogólnemu ludzkości, a więc i zawartej w nim szczęśliwości Polski, niekoniecznie niepodległej. Przekonałby się, że to właśnie owa „ugodowa” endecja, jej pisarze i publicyści, jak Popławski, Balicki, Dmowski pierwsi podnieśli w Polsce sztandar narodowy i to nie dziś, ani wczoraj i powoli wpoili swe ideje w świadomość całego narodu, tak że dziś możemy czytać zdania, podobne do wyżej cytowanych nawet w prasie sanacyjnej.

„Endecja” ma prawo nazywać się stronnictwem narodowem, bo od pół wieku wychowuje naród w tym kierunku i nikt jej nie może zaprzeczyć prawa do chorążostwa tego sztandaru. Autor pisze, że obóz prorządowy „jakby naumyślnie i planowo” przeciwstawiał się hasłom narodowym. Jeżeli się nieco głębiej zastanowi nad tem i weźmie pod uwagę niedawną zresztą przeszłość, to może się zgodzi na to, że słowo „jakby“ można śmiało opuścić. Stanowisko „obozu prorządowego“ nie było ani przypadkowe, ani wywołane przez, jak sądzi, konkurencję polemiczną. Było ono (czy można mówić o niem w czasie przeszłym?—niech autor obejrzy dokładniej sobie bliskich) ugruntowane w jego rodowodzie ideowym, a proces unarodowiania dopiero się tam zaczął.

W oczach naszych rozwija się też inny proces. Oto w „Jutrze Pracy” czytamy:

„Nasze sny o potędze mocarstwowej musi poprzedzić jeszcze ciężka i żmudna walka o niepodległość gospodarczą. Jesteśmy narodem, w którym wielki przemysł opiera się w 45% o kapitały zagraniczne, a w 45% o kapitały żydowskie. Jesteśmy narodem, w którym handel wielki i drobny, w 90% jest w rękach żydowskich. Jesteśmy narodem, w którym rzemiosło i drobny przemysł jest zaledwie w 45% w rękach polskich. Wszystko zatem co z ziemi polskiej wydobywamy i co ziemia polska rodzi, zanim dotrze do konsumenta Polaka, musi niestety przejść przez obcą nam kieszeń. Ruch komunistyczny, walący taranem w podstawy naszego bytu niepodległego, jest kierowany przez żydów i zasilany w 80% przez element żydowski...”

Tak dziś pisze organ Unji Pracowników Umysłowych, a przedrukowuje to spokojnie „Kurjer Warszawski“. Czy zawsze tak bywało? Czy też może był nie tak dawno temu jeszcze, bo za naszej pamięci, czas w Polsce, kiedy w prasie nie można było użyć słowa „żyd“, pisało się izraelita lub starozakonny, a o jakiejś jawnej akcji wypierania żydów z życia gospodarczego nie mogło być mowy. Cóż wywołało tę zmianę? Wystarczy przypomnieć historję pewnych wyborów do Dumy z miasta Warszawy, aby ustalić i ten rodowód, stwierdzić, że owa „endecja“ dała także pierwszy poważny impuls do gospodarczego usamodzielnienia kraju. I rodowód ten zostanie, mimo iż upowszechnienie się idei może przesłonić jej początki.

Wogóle dobrze jest porzucić mniemanie, że historja Polski zaczęła się od maja 1926 roku, i dostrzec, że sięga nawet dawniej, niż 6 sierpnia 1914 r. Łatwo się wtedy dojdzie do przekonania, że w ciągu tysiąca lat Polacy nieraz np. wyruszali w pole i pokolenie z r. 1914 nie jest bynajmniej wyjątkowe...

ARGUS

NA MARGINESIE

Wyjątek z dzieła „Radosna twórczość państwowa” (Warsz. 1936):

„Dajmy na to, że senator jest nietykalny, ale gdzie powiedziano, że jego majątek jest nietykalny?”

„Bo rzeczywiście, jaka to etyka! Nie dość że rząd mianuje go senatorem, on, zamiast być wdzięczny, jeszcze w krytykę się bawi!”

*

Żydzi w Polsce, zajęci organizowaniem frontu ludowego, wysłali depeszę do komunistów hiszpańskich: „Wasza sprawa jest naszą sprawą”.

Całe szczęście, że to kiepska sprawa.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.